Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ANTONI SŁONIMSKI O „WIEŻY BABEL"

WIADOMOŚCI LITERACKIE

Cena 80 groszy

TYGODNIK

Oddział „Wiadomości Literackich" w Paryżu, 123, boul St. Germain, Księgarnia Gebethnera i Wolffa

Cena numeru w Paryżu zł. 1.—

Nr. 23 (179) Warszawa, Niedziela 5 czerwca 1927 r. Rok IV

EMIL BREITER

Pisarz odrodzonej ojczyzny*)

Kaden-Bandrowski wybiegł na szeroki gościniec Europy. Zachłyśnięty szczęściem z odzyskania „utraconego śmietnika" („Generał Barcz"), złożywszy hołd wspomnieniom dzieciństwa i ukochanym murom polskiego Akropolu, wybrał się powieściopisarz, nowelista i kompozytor naszej współczesności na zdobycie prawdy o dzisiejszej Europie. O tej Europie powojennej, rzekomo odnowionej, wilsonowskiej i briandowskiej, o tem wielkiem pobojowisku życia, idej i energji, na którem podobno coś nowego smażą przeróżne delegacje i konferencje, a pod którem, jak pod kotłem, nowe wzbierają płomienie do nowych wstrząśnień.

Z jakąż rozkoszą i wewnętrznem wyzwoleniem ducha czyta się te odważne karty pierwszego Polaka, który nie jak emigrant, nie jak ubogi krewny, czy postawiony do kąta niegrzeczny chłopak, ale jak pełnoprawny, równowartościowy członek wielkiej rodziny europejskiej, odważnie, po męsku, z niezrównaną siłą ekspresji, z bystrością spostrzeżenia, której równą chyba u Tomasza Manna spotkać można, — opowiada wszystkie perypetje swej krótkiej wędrówki po szlakach środkowej i zachodniej Europy.

Książka ta powinna być co rychlej przetłomaczona na trzy języki europejskie: niemiecki, francuski i angielski. Niech się dowiedzą intelektualiści i pisarze tych narodów, jak patrzy na nich i co myśli jeden z najlepszych twórców współczesnej Polski. Jak ujmuje syntetycznie ideę, rasowość i wysiłek trzech pierwszych narodów Europy — pisarz odrodzonej ojczyzny.

Bo w ostatniej książce dochodzi do głosu przedewszystkiem pisarz odrodzonego państwa. Przemawia przezeń duma i wielkość, skupiony artyzm słowa, rozumiejący wagę odpowiedzialności każdego określenia. Kaden nie bawi się w dyplomację, idzie prosto do celu, stając u równej mety z Mannem, Duhamelem i Chestertonem, i jak gdyby na marginesie swej ściśle artystycznej twórczości daje migawkowe zdjęcia, krajobrazy, określenia i fragmenty, które — każdy dla siebie i wszystkie razem — składają się na „jak my to widzimy" — dzisiejszego intelektualisty i artysty polskiego.

Dotychczas *nas* tylko widziano, dotychczas my byliśmy objektem polityki, przedmiotem obmowy i pseudo-artystycznych zainteresowań. Do chwili położenia zrębu pod niepodległość, zajęci własnemi sprawami, zapatrzeni w system zagadnień naszego rodzimego świata, wychodziliśmy na szerokie areny Europy albo z sakwą żebraków, albo z apostolskiem i protestującem słowem.

Dzisiaj rytm i patos naszego życia, jego jędrna rzeczywistość, jego hartująca się moc, pcha najlepszy sens naszego wysiłku ku wielkiej przyszłości narodu, stającego do ideowego współzawodnictwa z kwiatem szlachetności wszystkich innych.

Świetną próbą takiego współzawodnictwa jest ostatnia książka Kadena-Bandrowskiego. Przedewszystkiem świetna jako słowo, fraza muzyczna, kompozycja zdania i całości. Kaden jest Europejczykiem jako artysta. Młodsze pokolenie pisarzów — a dzieje się to już dzisiaj w niemałym stopniu — powinno uczyć się więzi konstrukcyjnej, plastyki obrazów, jasności słowa i bystrości porównań na prozie Kadena. Pisarz przeszedł ciężką i trudną drogę od „Prochu", „Niezguły", poprzez „Łuk" i „Barcza", do klasycznej, prostej, soczystej i opanowanej prozy „Miasta mojej matki". Barok słowa i porównań nabierał zwolna i z biologiczną koniecznością prostoty i jasności klasycznej. Skala wypowiedzeń rosła w miarę odrzucania po drogach artystycznego rozwoju wszystkiego, co jest pleonazmem, nadmiarem i ornamentem. A równocześnie pogłębiała się wrażliwość psychiczna pisarza, rozpalała się jego nuta ideowa, rozświecał ogień serdecznego sentymentu. Zamyślenia szczegółów nabierały barw ogólnych, w drobiazgu zaczęła przeglądać się wieczność, i dokonała się ta przemiana, która z prozatora czyni myśliciela, z artysty strażnika ideowości.

Zaduma nad wiecznością idzie u Kadena w jednym szeregu z zadumą nad chwilą przemijania. Instynkt wszechludzki, panteistyczny, jakaś kosmogonja artystyczna unosi się nad każdą kartą tej książki, która będąc pamiętnikiem podróży, co krok zaczepia o węzły syntetyczne, wspina się na szczyty historjozofji narodów, aby w utopijnych zamyśleniach nad przyszłością postawić wiarę w wolnego człowieka na piedestale boskich przeznaczeń.

Ale wiara ta nie ma nic wspólnego z mdłym humanitaryzmem, który jest przywilejem słabych. Płynie ona z tragicznych doświadczeń i przeświadczeń o konieczności przemiany, z ponurych, w dantejskim patosie skąpanych obrazów walk pod Verdun, ze znikczemnienia kultury bijącej pokłony świętemu dolarowi, z „wolności w zupie rakowej", — czyli z głupiego oszczędzania życia dla zwodniczej chimery zwycięstwa.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI
karykatura Władysława Daszewskiego

W kalejdoskopie obrazów wyraził Kaden socjalogiczną i ideową „prawdę" powojennej Europy. Jej handlowe uśmiechy, jej tęsknoty za pieniądzem, jej kobiety, które sprzedają siebie i towar na cmentarzach Europy, jej anglosaskich globtrotterów, którym się wydaje, że jeżeli świat do nich całkiem nie należy, to tylko dlatego, że nie wyciągnęli po wszystko swych drapieżnych dłoni.

Kaden daje świetną syntezę Francji, która jest „ludzka, bo mówi prawdę i kłamie, jest wierna, to znów całe pół wieku cudzołoży, jedno tylko zachowując zawsze — poprawną formę". W lapidarnych skrótach, roziskrzonych dowcipem, narysował pisarz obraz historycznego rewanżu okupowanych przez Francję krajów niemieckich i uszczęśliwionych tym samym wymysłem tortur i złośliwości, jakim nas obdarzono w epoce triumfu imperjalizmu niemieckiego.

Nie od politycznej lub odwetowej strony dochodzi Kaden do ostatecznego wyrównania wszystkich przeciwieństw. Pisarz upija się rzeczywistością i obserwuje każdy szczegół, czy będzie nim nasz urzędnik cłowy, czy niemiecki strażnik lub francuski „zupak". Pod odrębnością zwyczajów, szczególnością maniery, pod brutalnem zmechanizowaniem rozkazu, czujne oko autora dostrzega tę samą po wsze czasy istotność człowieka. Szukanie człowieka staje się w Kadenie opętaniem egotyzmu. Nie chce niczego dzielić ani rozróżniać, w sobie samym ogniskuje wszystko i wszystkich. Jest najczulszym seismografem i regestratorem jako twórca i jako indywidualność; aby zrozumieć wszechpłynną odmienność — utożsamia się z nią, jednoczy i w niej się rozpływa.

Dlatego poprzez wszystkie kartki pamiętnika od pierwszej rozmowy z czasem, który jest „kruszyną wieczności", aż do ostatnich fragmentów („W Szwajcarji", „Radość mnie pogania"), rośnie i potężnieje ten akcent egotyzmu, mający paradoksalny ton panteistyczno - społeczny. „Ja tu jestem bratem złego i dobrego, już nawet niewiadomo jakiego" — woła pisarz w obliczu zwałów pracy ludzkiej. „Wszystko ja, moja radość, radość nieskończona... Ładuj we mnie, Boże wszystkiego dobrego i złego, ładuj i ładuj wszystko, coś wymyślił, wieczność twoją i nicość, słońce, mleko i miód i co tam masz pod ręką. A ja będę bratem dobrych rzeczy i bratem złych rzeczy".

Ten patos szczerego wzruszenia, patos religijny niemal i głęboko filozoficzny, dochodzi w rozdziałach, poświęconych Goethemu. Congadowi, „Posterunkowi nr 5" do wyżyn najczystszego liryzmu. Epik i narrator, dotąd zda się chłodny i tylko komponujący, wybiegł swą książką naprzeciw prozie Knuta Hamsuna. Radośnie pogrążył się w ubóstwieniu natury i człowieczeństwa, dotarł poprzez maski i fragmenty obrazów do rdzenia rzeczy, uskrzydlił przypadek, powiązał sprawy rozdzielone i w wizji starej kobiety, zbierającej siano gdzieś na zboczach pagórków, ukazał symbol powojennej Europy.

„Stoi — ona — w drzwiach, które żal otworzył i niezamknięte zostawił, zbiera życie pasmami po ziemi rozwłóczone, w koniecznej porze zżęte, gwoli czyjegoż wzrostu, czyjegoż urodzaju i jakich celów przyszłości?!"

Jakich celów przyszłości?! Na pytanie to odpowiada Kaden we wspaniałym obrazie „Niema Cię jeszcze", poświęconym człowiekowi przyszłości. Człowiek przyszłości Kadena to ani Uebermensch Nietschego, ani jakiś hiperuczony, rozkazujący żywiołom prawami równań fizycznych. *To nie nadczłowiek, lecz arcyczłowiek;* to taki, który „z łatwością zobaczy treść samą". Bo przecież tylko o treści chodzi. Nie o to, co je skrywa lub przekręca, co załamuje lub unicestwia, co je dzieli i wrogim frontem przeciw sobie stawia. Człowiek przyszłości — jak powiada pisarz — rozstrzygnie pozorne sprzeczności tego świata i „w sercu swem znajdzie cudowny wynalazek łaski, który zmieni te sprawy na ziemi".

Z taką zdobyczą wraca Kaden po swojej podróży w najdroższy dom ojczysty. Pogania go radość słodkiego wysiłku, świadomość wielkiej pracy, która jest zawsze błogosławieństwem, i głębokie przeświadczenie, że wszystko na tych ugorach, „po których zbiera się życie pasami rozwłóczone", ulec musi znakomitej przemianie. Z książki jego bije wiara w moc człowieka i płynie głęboki nurt wszechobecności człowieczeństwa. Nikt dzisiaj w Polsce nie umie z taką siłą wyrazu *powiązać widzenia zwykłych rzeczy z ideą niezwykłości tych rzeczy.* Nikt nie rozporządza taką piekielną dynamiką rozpędu i równocześnie takiem opanowaniem każdego ruchu.

Dlatego też z prawdziwem wzruszeniem odczytujemy tych kilka zdań, rzuconych przez Kadena mimochodem, a które odsłaniają nam przepaście pracy i samozaparcia, będące zawsze kulisami prawdziwego artyzmu. „Otacza nas (artystów) samotność, z której wyjść nie umiemy. W samotność tę wpędzają nas nadmierne wymogi rzemiosła. Nieposkromiona żądza formy. Obłęd szczegółów".

Samotność, nieposkromiona żądza formy, obłęd szczegółów — to trzy etapy krzyżowej drogi, po której wspina się Kaden-Bandrowski na najwyższe szczyty twórczości. Etapy te ma już poza sobą. Dzisiaj, stając twarzą w twarz Europie, zbierającej siano, zdobywa prawo zostania przedstawicielem naszego pokolenia i tym pisarzem odrodzonej ojczyzny, od którego literatura polska oczekuje rzeczy coraz doskonalszych.

Emil Breiter.

*) *Juljusz Kaden-Bandrowski.* Europa zbiera siano. Ilustrował *Tadeusz Gronowski.* Lwów, Zakład Narod. im. Ossolińskich, (1927); str. 248 i 2nl i tabl. 5.

!UKAŻE SIĘ JUŻ W DNIACH NAJBLIŻSZYCH!

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKIJ

Wybór poezyj

pod redakcją ANATOLA STERNA

Tłumaczyli:

BRONIEWSKI
JASIEŃSKI
SŁOBODNIK
SŁONIMSKI
STERN
TUWIM
WANDURSKI

KSIĘGARNIA „KSIĄŻKA", Krucza 26

Jubileusz prof. Stanisława Dobrzyckiego

Wywiad własny „Wiadomości Literackich"

Poznań, w maju 1927.

Dwa lata temu, w piękny majowy wieczór, cała młodzież uniwersytetu poznańskiego manifestowała zgodnie pod oknami ukochanego solenizanta, Stanisława Dobrzyckiego.

Z seminarjum i z wykładów znali go tylko poloniści, ale wszyscy uwielbiali „Kochanego Stasia" jako dziekana, a potem rektora. Nie było wprost studenta, który nie zawdzięczałby mu drobnej choćby przysługi, wskazówki, rady. Prostota i życzliwość profesora jednała Dobrzyckiemu ogromną popularność i wdzięczność, a humor, z jakim zawsze odnosi się do słuchaczy, wytworzył rodzaj koleżeńskości, w której szacunek młodzieży łączy się harmonijnie z braterskiemi uczuciami wychowawcy.

Gorące „Niech żyje!", niezmordowanie, społem wykrzykiwane przez najrozmaitsze porywcze korporacje uniwersyteckie, zwykle zawzięcie boczące się na siebie, jednoczyło młodzież w miłość ku rektorowi.

W tym roku zmuszono prof. Dobrzyckiego do święcenia jubileuszu, aby znów mieć okazję do okazania mu swej życzliwości. Obliczono, że właśnie minęło 25 lat od objęcia przez prof. Dobrzyckiego katedry profesora nadzwyczajnego literatur i języków słowiańskich na uniwersytecie we Fryburgu szwajcarskim, — a wię przemocą zrobiono z drogiego profesora jubilata, i pierwsza uroczystość jubileuszowa w niezwykle serdecznym utrzymana nastroju, odbyła się dn. 8 maja b. r. w Kole Polonistów.

Mówił na niej rektor prof. Grochmalicki o wielkości pracy jubilata dla uniwersytetu poznańskiego, wynosili wysoko dorobek naukowy profesora na polu historji, literatury polskiej i językoznawstwa koledzy Dobrzyckiego: Edward Klich, Tadeusz Grabowski i Mikołaj Rudnicki, ale najgłębsze wrażenie na słuchaczach uroczystości zrobiły przemówienia byłych i obecnych uczniów profesora, które świadczyły, jak wyjątkowym wprost wychowawcą jest Dobrzycki, jak świetnie umie zachęcić do badań naukowych i jak ofiarnie staje się w nich dla młodego pracownika pomocą i przewodnikiem.

Konieczność obejmowania wiedzy języków i literatur słowiańskich, nakaz narodowy wyzyskania katedry we Fryburgu dla propagowania kultury polskiej i szerzenia wiedzy o Polsce nietylko wśród słuchaczy, ale i w obcych czasopismach i wydawnictwach encyklopedycznych, utrudniał prof. Dobrzyckiemu wydawanie większych monografij. Ogłaszał więc głównie szkice, uwagi, przyczynki, notatki, zawsze mając coś istotnego do powiedzenia.

Jego rozprawy „O mowie ludowej we wsi Krzęcinie", „O t. zw. mazurowaniu w języku polskim", uwagi o samogłoskach nosowych w gwarze kilkunastu wsi góralskich, o przysłówkach na „o" i „e", utworzonych od przymiotników w języku staropolskim, spostrzeżenia nad językiem Mickiewicza i t. d. i t. d. — są wartościowym wkładem naukowym, cenionym przez badaczy języka.

Historyk literatury oprze się z wielkim pożytkiem na jego świetnych pracach o „Pieśniach" i „Psałterzu" Kochanowskiego, na wnikliwej analizie „Nieboskiej komedji", na dobrej próbie syntezy XVII w., a przedewszystkiem na studjum „O kolędach", wznoszącym pierwsze podwaliny pod naukowy rozbiór kolęd polskich. Prof. Dobrzycki ma przytem tę radosną satysfakcję, że jego sposób ujęcia zagadnienia, choćby nawet przez szereg lat pomijany przez krytyków, w końcu okazuje się najlepszy i powraca do opracowań naukowych. Tak np. przedstawia się rzecz z rozprawami „Psałterz" Kochanowskiego w stosunku do innych jego pism" i „Psałterz" Kochanowskiego, jego powstanie, źródła, wzory", które stały się wyjściem dla komentarza prof. Sinki, dodanego do „Pieśni i wyboru innych wierszy" Kochanowskiego w setnym numerze „Bibljoteki Narodowej".

Objęcie przez Dobrzyckiego w r. 1919 katedry profesora zwyczajnego historji literatury polskiej na uniwersytecie poznańskim, choć zmniejszyło zakres obowiązków nauczycielskich do tej dziedziny, która najwięcej pociągała długoletniego profesora języków i literatury całej Słowiańszczyzny, znów odrywało badacza od warsztatu naukowego koniecznością roboty organizacyjnej w powstającym dopiero uniwersytecie i w odrodzonym Poznańskiem Towarzystwie Przyjaciół Nauk, którego Dobrzycki przez kilka najtrudniejszych lat był sekretarzem generalnym, czyli główną, najważniejszą sprężyną. Potem wyczerpany organizm zaczęła nękać przewlekła choroba, jeszcze jedna, najprzykrzejsza, przyczyna, udaremniająca wykończenie rozpoczętych prac naukowych.

Na uroczystościach jubileuszowych dowiedziałem się, że nastąpiła, na szczęście, znaczna poprawa w zdrowiu profesora, wobec tego śmielej poprosiłem o wywiad.

fot. Ulatowski
STANISŁAW DOBRZYCKI

Rozmowa rozpoczęła się naturalnie od złożenia życzeń jubilatowi.

— Dziękuję — uśmiechnął się prof. Dobrzycki. — Jubileusz jest chwilą raczej przykrą, niż przyjemną. Pozwala wprawdzie zbierać miłe dowody uznania, nawet czasem ponad zasługę, ale równocześnie przypomina przebytą drogę i domaga się zdania z niej rachunku. Nie lekceważę mego wysiłku, ale wiem doskonale, że trzeba było zdziałać o wiele więcej, niż zrobić zdążyłem. Przytaczanie na usprawiedliwienie rozmaitych mniej lub więcej ważnych przeszkód może zadowoli mych sędziów, ale mnie nie wystarcza. Dlatego porządkuję materjały i korzystając z lepszych, niż poprzednio, warunków, — piszę.

— Podobno „Historję literatury polskiej"?

— W dwóch tomach. Pomyślana była ta praca jako część wielkiej encyklopedji polskiej, która zaczęła pojawiać się w Lozannie. Piszę z myślą o obcym czytelniku, dlatego zjawiska literackie omawiam na szerokiem tle politycznem i gospodarczem, dając w ten sposób zarys całej kultury polskiej. Doprowadzę dzieje literatury do ukończenia wojny światowej. Prawdopodobnie wydam rzecz również po francusku.

— A kolędy?

— Nagromadziłem tyle materjału porównawczego, że muszę raz jeszcze zabrać się do tej wdzięcznej pracy. Należałoby naprzód wydać naukowo cały zasób kolęd, a potem obszerną o nich monografję. Jeżeli tylko zdrowie będzie na mnie łaskawe — ogłoszę kolędy po wydrukowaniu „Historji" i „Wstępu do historji literatury", w którym osobno pragnę oświetlić filozofję literatury. Potem przyjdzie może czas na inne zagadnienia, np. na opracowanie problematu Polski w poezji porozbiorowej. Czy czytał pan prałat Bronisława Gładysza p. t. „Ksiądz Maciej Kazimierz Sarbiewski a reforma hymnów brewjarzowych za czasów papieża Urbana VIII"? Ta gruntowna cenna rozprawa wyszła świeżo z mego seminarjum i staje się zapowiedzią wzmożenia nakoniec naukowego zainteresowania wśród młodzieży uniwersyteckiej. Będzie więc czem napewno resztę czasu wypełnić!

— Chciałbym sięgnąć jeszcze do okresu działalności pana we Fryburgu. Wiem, że pod okiem pana powstawała tam cenna rozprawa pani Zdenki Marković „Pojęcie dramatu u Wyspiańskiego"; z dedykacji „Poetyki Filipa Nerjusza Golańskiego" ks. Bronisława Zaleskiego dowiedziałem się, jak wiele autor zawdzięcza swemu fryburskiemu profesorowi; to samo powiedziały „Epitety w polskiej poezji pseudoklasycznej" ks. Michała Piaszczyńskiego i „Les opinions de Sigismond Krasiński sur les littératures étrangères" p. Emilji Sedlaczek, ale przypuszczam, — że to napewno nie cały seminaryjny dorobek nauczycielskiej działalności w Szwajcarji.

— Nie wszystko ukazało się drukiem. Boję się, czy najważniejsze pozycje zdołam panu wogóle dopowiedzieć z pamięci. Do wymienionych trzebaby jednak dodać jeszcze rozprawę obecnego metropolity bułgarskiego Georgeffa o Bogomiłach i Kośmie, Litwina Augustaitisa „Pierwiastek litewski we wczesnym romantyzmie polskim" i prace polskich księży, bo tych było na moich wykładach we Fryburgu najwięcej: Piotra Kwoczyńskiego o „Psałterzu" Karpińskiego i jego stosunku do Kochanowskiego, Ludwika Zalewskiego o poetyce Dmochowskiego, Wacława Kosińskiego monografję o Mijakowskim, Edwarda Ptaszyńskiego „Poglądy pedagogiczne Staszica" i t. d. Kasa Mianowskiego udzielała nam zasiłków na wydawanie rozpraw doktorskich, ale większość ukazała się, z powodu trudności finansowych, zaledwie we fragmentach, albo nie wyszła dotychczas wcale. W tym roku, w roku jubileuszowym, z rozmaitych krajów otrzymuję niespodziewanie listy z życzeniami od rodaków i cudzoziemców i z radością spostrzegam, jak wielu miałem uczniów, a co więcej, jak wielu z nich życzliwie o mnie pamięta. To wlewa w serce otuchę w chwilach porachunku z przeszłością i pozwala z większym spokojem mówić o groźnym jubileuszu. Życzono mi na srebrnych godach — złotych. Jeżeli naprawdę mam ich doczekać, chciałbym stanąć przed mymi uczniami z większym naukowym dorobkiem, ale jeszcze bardziej pragnąłbym zachować dla siebie serdeczność tej życzliwości i uznania, z jaką się dziś wśród młodzieży spotykam.

Prof. Dobrzycki, upewniłem się raz jeszcze, za miłość płaci swym uczniom miłością. Ten wprost wyjątkowy wzajemny stosunek serdeczności między wychowawcą a wychowankami jest najpiękniejszą ozdobą poznańskich jubileuszowych uroczystości ku czci wytrawnego uczonego i niezwykłego pedagoga.

Stel.

NOWOŚĆ!

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

ROMANS NA WSI

POWIEŚĆ

CENA ZŁ. 3.50

GEBETHNER I WOLFF

SKAMANDER

Ukazał się nr. 49 (za lipiec 1927)

Treść zeszytu:

∴ ∴ ∴ ∴ ∴ ∴ — *Leopold Staff.* Oko w oko. Poemat — *Antoni Słonimski.* Święty Franciszek z Assyżu. Aksamit truwera — *Józef Wittlin.* W mroku. Ghetto. Ślepiec w sadzie. Lipowa łyżka — *Włodzimierz Słobodnik.* Pozdrowienie wieczorne. Poeta Kisai. Noc w Azji. Niebo. Kontrasty — *Stanisław Baliński.* Ręka przyjaciela. Rue Bagneux — *Irena Tuwim.* Moja mistrzyni — *Mieczysław Braun.* Odwiedziny miejsc ulubionych w młodości — *Jarosław Iwaszkiewicz.* Dzień i noc — *Mieczysław Jastrun.* Rudy półśmiech — *Marja Kuncewiczowa.* Dzieje grzechu — *Jerzy Paczkowski.* Jeździec — *Jerzy Liebert.* Żona poety — *Kazimierz Wierzyński.* Wóz — *Konstanty Gałczyński.*

Okładka *Janiny Konarskiej.*

Administracja: Boduena 1 m. 2, tel. 223-04, codziennie od 9 — 18. Konto czekowe 8.515.

Prenumerata z przesyłką w stosunku zł. 8.— kwartalnie, łącznie z „Wiadomościami Literackiemi" w stosunku zł. 15.— kwartalnie, zeszyt pojedyńczy zł. 3.—, dla prenumeratorów „Wiadomości" zł. 2.25.

W „Studio des Champs-Elysées"
„MAYA" GANTILLONA

Korespondencja własna „Wiadomości Literackich"

Paryż, w maju 1927.

Tłumaczka „Mayi" mówiła mi, że p. Gantillon prosił ją, żeby oddała czystość jego sztuki, („le caractère de pureté de cette pièce"), żeby nic z jej poezji nie uroniła, i żeby czuć było nostalgję morza, za którem on, marynarz, wciąż tęskni.

Nie wątpię, że tłumaczka „Mayi", która sama jest też poetką i rozkochana w morzu, zawodu autorowi nie uczyni. Sztuka pozostanie czysta, bo może być czysta, jakkolwiek dzieje się w domu publicznym, a bohaterką jest jedna ze stałych jego mieszkanek.

A przytem to nie jest apoteoza prostytutki, ani jej rehabilitacja à la Tołstoj, to jest życie, którego kapryśne piękno gnieździć się wszędzie potrafi, to jest historja Mayi - Belli, symbolu wiecznego złudzenia.

Gdy Celesta chlubi się tem, że ma stałą, „burżuazyjną klijentelę, Bella mówi, iż woli przejezdnych, tych, którzy z całego świata tu, w Marsylji, do portu przybijają. Ci wszyscy ludzie przyszli z morza i za chwilę pójdą znów na morze, nie na to stylizowane, które „spokojnie" kłębi się na

Afisz zaprojektowany przez Pawła Colin

kurtynie, ale żywe, złe i kusicielskie, — szeroki powiew jego czuje się w całej sztuce. W krótkim antrakcie między dwiema podróżami — marynarze szukają kobiety. I w jednej kobiecie wielu może znaleźć nietylko zaspokojenie fizycznych pożądań — tam, na morzu, czasem stałoby się zatopiło dla jednego pocałunku, ale słowem i spojrzeniem ukoić ona potrafi tęsknoty serca i duszy. Dla każdego będzie czem on zechce, każdy nazwie ją jak zechce, każdemu ofiaruje czego on pragnie.

Ta kobieta daje mężczyźnie wszystko, choć sama nic nie posiada. „Pokój jest twój? — Nawet nie alkowa. — Łoże jest twoje? — Nawet nie pościel. — Ciało jest

SIMON GANTILLON
rysunek Borysa Mieszczerskiego

twoje? — Nawet serce nie moje. — Jest dobrem wszystkich". Przechodniu, bierz rozkosz! Jest jak wosk podatna i przybiera w rękach każdego kształt jemu drogi. Żyje w odbiciu pragnień cudzych. „Oczy twoje takie błyszczące... odblaskiem twoich oczu. — Usta twoje takie palące... pocałunkiem twoich ust. — Ręce twoje takie drżące... drżeniem twoich rąk".

Jest w Belli zrozumienie innych, odczucie ich i — tęsknota za ich życiem, dalekiem, burzliwem. Ta kobieta zamknięta już na zawsze (finished!) w ramach czterech czerwonych ścian, myślą odbywa dalekie podróże. Oni otwierają przed nią okno na świat szeroki. Mniejsza z tem, że nie może się nauczyć, gdzie leży Aden, zna barwy wszystkich ludów i wszystkich krajów, muzyka obcych słów kołysze ją i zarazem budzi.

Ale poza życiem — fachowem i nierealnem — Bella ma jeszcze inne życie. Smutne. Z przedziwną delikatnością uczuć maluje autor scenę, gdy na wiadomość o śmierci swej córeczki — moje dziecko, bo było! we mnie — chce jechać na pogrzeb. Gdzieś tam w góry, gdzie podobno są gaje oliwkowe. Ale zrezygnować jednak musi z tej wyprawy. Bo jakże jechać w tem uczesaniu, w tych pantofelkach, odwykła od noszenia „normalnego" stroju! Jakże trudno stać się na chwilę — porządną kobietą! Tyle skomplikowanych rzeczy trzeba włożyć na siebie, żeby mieć wygląd — naturalny! Serdeczny ból jest w jej stosunku do dziecka, które widziała jedynie w dniu przyjścia na świat, i nawet nie wie, jakie nosiło imię. „Nazywałam ją maleńka. Mało zresztą miałam czasu myśleć o niej". Serdeczny ból jest też w sercach jej towarzyszek, ofiarujących dorobek jednej godziny swej pracy na wieniec. Może biały — bo to przecież było niewinne dziecko. Może z różowych paciorków, bo to weselej...

Bardzo jestem ciekawa, czy będą u nas grali „Mayę". Czy jaki teatr „odważy się" wystawić tę sztukę? Sztukę, która dzieje się w domu publicznym, — ale o tem się często zapomina. Upewniała Marja Leszczyńska, że kobieta również cierpi na tronie jak i gdzieindziej. Wszędzie i jednako cierpi serce ludzkie. Jak subtelnie i delikatnie cierpi biedne serce

Małgorzata Jamois w roli Belli

Mayi - Belli! Zapewne, prócz zasługi autora jest w tem wiele zasługi artystki i reżysera. Nikt tu nie szukał sposobności do zbrutalizowania sztuki. A na to trzeba wiele odwagi. O wiele więcej, niż na wystawienie „pieprznej" farsy.

Aurelja Wyleżyńska.

„CHOPIN CZYLI POETA"

Nowa książka Guy de Pourtalès

Paryż, w maju 1927.

Sukces, jaki odniosła ostatnio nowa książka p. Pourtalès p. t. „Chopin ou le poète", przypisać należy poza istotnemi zasługami jej autora w dużej mierze i czynnikom zewnętrznym; przedewszystkiem więc zbiegowi okoliczności, że powieści biograficzne we Francji są teraz w modzie i że postać Chopina ze względu na stulecie romantyzmu powróciła do pewnej „aktualności". Oczywiście, że dla kół fachowych, dla pianistów i muzyków, oraz dla wielbicieli muzyki wogóle i specjalnie dla t. zw. „chopinistów" postać genjalnego pianisty i największego bodaj kompozytora na fortepian nie straciła na aktualności swej nigdy... Ale szerszym masom, szczególnie we Francji, gdzie, jak wiadomo, muzyka nie święci specjalnie triumfów, trzeba może było pewnej dawki aktualności zewnętrznej, aby książka o polskim muzyku mogła znaleźć rezonans. Bo poprzednia książka francuska o Chopinie „La vie amoureuse de Chopin" Vuillermoza, która ukazała się mniej więcej przed rokiem, nie mogła już ze względu na „Leitmotiv" tematu mieć tego znaczenia, co poważna powieść biograficzna. W „La vie amoureuse de Chopin"*) punktem wyjścia była erotyka, a więc jedna zaledwie strona charakteru Chopina (w dodatku spłaszczona i zbanalizowana), w książce Pourtalèsa — cały człowiek. Naturalnie, że i tu stosunek Chopina do naiwnej Gładkowskiej, do głupiuchnej Wodzińskiej i do George Sand, tej „straszliwej krowy do pisania", jak powiedział o niej Nietsche, został należycie uwzględniony. (Najlepiej wczuł się autor w stosunek do Wodzińskiej, o której wspomnienie Chopin zamyka słowami „Moja Bieda"; omówienie stosunku „panny Chopin do pana George Sand", acz obszerniejsze i bardziej szczegółowe, wypadło może zbyt powierzchownie).

Guy de Pourtalès ma już za sobą jedną powieść biograficzną: „Życie Liszta". Chęć więc nakreślenia postaci innego pianisty zawierała w sobie, jak każde zresztą „specjalizowanie się", pewne niebezpieczeństwa. Ale z pomocą przyszła p. Pourtalès sama natura wybranych „bohaterów", różniąca się wszak tak bardzo od siebie: podczas gdy Liszt jest człowiekiem pełnym sił i życia — Chopin „wiecznie umiera"; podczas gdy Liszt czerpie natchnienie z pełnego źródła silnej męskiej miłości — Chopin żyje wspomnieniami, żalem i zapachem więdnących uczuć; podczas gdy Liszt ma przed sobą całą Europę — Chopin słyszy tylko odgłos ojczystych walk, „zakrywa — jak powiedział Paderewski — armaty kwiatami".

Panu Pourtalès zarzucić muszę zupełny brak wczucia się w tragizm twórczości muzycznej Chopina, a więc w walkę o nową i czystą formę, w walkę wewnętrzną o zwycięstwo muzyka-artysty nad i tak już bardzo skłonnym do słabości człowiekiem, i co z tego wynika — zupełnie fałszywą interpretację postaci Chopina, zawartą już zresztą w tytule książki „Chopin ou le poète". Tego rodzaju interpretacja świadczy o tem, jak daleko p. Pourtalès odbiegł od naiwnej artystycznej prawdy, że albo się jest muzykiem albo się nim nie jest. Wszelkie oddalenie się od tej prostoty, wszelka chęć komplikowania cuchnie nawyraźniej „literaturą". Chopin był jak Heine poetą. (Wyobraźmy sobie tytuł: „Delacroix czyli muzyk"?) Interpretacja ta tem bardziej jest nieuzasadniona, że autor w trakcie swej książki głębszego znaczenia tego ni w pięć ni w dziewięć przylatanego słowa „czyli poeta" wcale nie umotywował.

Mimo wszystko, p. Pourtalès należy się za piękne spopularyzowanie postaci polskiego kompozytora we Francji, gdzie szerszy ogół uważał go za kompozytora francuskiego, pewna wdzięczność. Bo czyż poza propagandą kulturalnej Polski, może istnieć inna, lepsza?

*) por. recenzję w nr. 176 „Wiadomości".

Artur Prędski.

Metamorfozy p. Grubińskiego

Gdybym pisał stylem p. Grubińskiego, powiedziałbym, że istnieją tematy wieczne, jak ludzkość. (Tu zrobiłbym dyskretny ukłon w stronę „niedoścignionego mistrza", Anatola France, i z subtelną domieszką soli attyckiej, wykwintnie dozowanej, podałbym w wątpliwość samo istnienie zarówno ludzkości i wieczności jak tematów). Ale p. Grubiński, przyznać trzeba, reprezentuje z wdziękiem nietylko „śmietankę towarzyską" warszawskiego bruku, czyli świat umysłowy Lourse'a; miła *nieletniość* myślowa, charakteryzująca literatów gatunku p. Grubińskiego, studencka pewność siebie i zachwyt nad swą własną nieciekawą postacią, dezynwoltura urodzonego spacerowicza i szlifibruka — wszystkie te cechy nieco niepoważnej „wiecznej aktualności" (znów zapożyczam terminologję) podnoszą tego Herostratesa kawiarni do godności *typu*. Jeżeli bowiem co zostanie z tak wielostronnej działalności literackiej p. Grubińskiego (nie mówiąc o sukcesach życiowych), to właśnie zupełny brak *fizjognomji*, kompletna nieoryginalność, widmowy i pocieszny schemat myślowy oraz nieznośnie dobre maniery układnego fryzjerczyka z prowincji, który przyjechał pohulać i wielkość swą zaprezentować „stolicy", słowem — dyletantyzm drobnomieszczanina, rojącego o triumfach salonowca

Przyklasnąć należy rozpowszechniającemu się ostatnio zwyczajowi wydawania utworów scenicznych: to, poza nawiasem koleżeńskich przysług, oddawanych w panegirykach feljetonów, ułatwia możność *kontroli*. Wprawdzie kapitalne dramaty Rittnera ciągle jeszcze są niedostępne, ale kogoby o taki drobiazg zabolała głowa... Wzamian za to o wiele za dużo jest u nas barbarzyńskiego zainteresowania każdą sztuczką teatralną: po organicznej pracy narodowej, po załatwieniu afer giełdowych jakże przyjemnie wypoczywa się przytem i trawi dobrodziejom społeczeństw; ich wartość jest, jak wiadomo oddawna, w odwrotnym stosunku do ich bezceremonjalnie masowej fabrykacji: ale i pod tym względem nie dorównaliśmy jeszcze starszej naszej siostrzycy, Francji. Więc dobrze jest, gdy taka pseudo-literatura ukazuje się w druku: można czarno na białem sprawdzić całą jej pretensjonalną nicość. Na scenie ta i owa podstarzała aktorka potrafi świetnością swych tualet oszukać niejednego łysiejącego krytyka; u nas wciąż jeszcze, jak za króla Ćwieczka, teatrem rządzą aktorzyce, a piśmiennictwem skryby dziennikarskie. Z tego idą potem pełne swędu dymy po całej literaturze. Ale z chwilą, gdy *polską dramaturgję* raz jeszcze ma wobec Europy reprezentować — czyli kompromitować — lokalny związek warszawskich „autorów dramatycznych" (niema tu: Nowaczyńskiego, Żegadłowicza, Morstina, Witkiewicza, a palmę pierwszeństwa bezsprzecznie dzierży p. Grubiński), życzyćby należało jak najgoręcej, by dzieła tych panów ukazały się w pomnikowem wydaniu zbiorowem. Byłoby to pouczające i niepozbawione miłej pikanterji. Grubiński dał temu początek. Niechże go powitają zasłużone oklaski.

Zresztą, na przykładzie p. Grubińskiego uczmy się skromności. Każdy kraj ma takiego Anatola France i takiego Shawa, na jakich zasłużył; czyżby autor „Lenina" nie był Francem dla polskiej pół-inteligencji? Być może, rola ta nie zadowoli w pełni jego ambicji: lecz, nie szczędząc zachodu, zapracował na nią rzetelnie. Pamiętamy jeszcze, jak jedną ze swych komedyjek nazwał skromny p. Grubiński w pokorze ducha „komedją współczesną i wieczną"; jak zwykle, tak i tym razem, jedną placką chciał ubić wiele much, i wszystkie wróble umknęły mu z garści. Tylko że taka sancta simplicitas, takie zezowanie w stronę nieśmiertelności (czy też fotela nieśmiertelnych) nie powinno być tolerowane nawet u najbardziej nie przebierających w środkach warszawistów; pozatem widowisko zaprawdę jest paradoksalne, gdy kładzie się dwa grzyby w barszcz, który okazuje się zwyczajną anemiczną lurą.

Ten prymus ma już tak ustaloną opinję nieskazitelności, że niekiedy pozwolic sobie może na niewinne psoty: da nam niewielki wykład, jak w pewnej kawiarni zapatrują się na Steinacha, Einsteina lub... socjalizm, i co z tego wyniknie dla... życia i miłości. Lecz oddajmy każdemu co mu się należy. Cokolwiek się pisze (a zwłaszcza mówi i... myśli o p. Grubińskim), sztuka jego pod pretensjonalnym tytułem „Lenin", szeroko spopularyzowana na ulicach Warszawy, za którą autor nie uzyskał nagrody Nobla, z wielu względów jest interesująca. Irzykowski w swej znanej pobłażliwości nazwał ją „lekcją socjalizmu"; jeśli jest nią istotnie, to kiepski uczeń z p. Grubińskiego, swój egzamin inteligencki zdał na dwóję (nawet niejeden członek P. P. S. potrafiłby go zdystansować) i powinien iść czem prędzej na kurs przeszkolenia. To byłby też niezły temat do komedji autobiograficznej. Ale p. Grubińskiego nie stać na tyle odwagi: wciąż jeszcze czeka na swego biografa. Rojący się zaś od grubych naiwności „Lenin" jest niczem innem, jak jedną jeszcze *mimowolną* parodją Shawa, który początkującym dramaturgom, śniących o laurach w Europie nie daje po nocach sypiać, a za dnia każe smażyć oszczercze feljetony do bogobojnych pism brukowych.

Jakże mistrzowsko w tej sztuce zachowany jest „couleur local"; straż przyboczna na Kremlu nosi słomianki; autor nie omieszka wnet dodać, że jest to „rodzaj pantofli plecionych ze słomy". Podziwiamy dokładność informacyj, a zarazem odkrywamy właściwe powołanie p. Grubińskiego: czyżby ten zblazowany myśliciel nie był czasem zakapturzonym pisarzem dla dzieci? Maluczko, a wydawnictwa gwiazdowe będą miały z niego prawdziwą pociechę. I jakiż świetny to agitator! „Zabrakło chleba, więc... odezwę" — z piekielną ironją odzywa się Gotorpow, tylko że, niestety, nie od wczoraj znamy tę „ironję" psotnego uczniaka, któremu zdaje się, że pojadł wszystkich rozumy, gdy w miejscu niedostępnem chyłkiem zaciąga się papierosem.

Pan Grubiński, gdzie może, popisuje się swoją wiedzą, niewyczerpaną erudycją, jak studnia bez dna, tryska rewelacjami. W usta pseudo - Mikołaja kładzie figlarne słowa o tem, że Lassalle był zwyczajnym burżujem, bo zginął w pojedynku o... kobietę. Tak, to niewątpliwie decyduje. Przypomina to rozumowanie ciotek, które Beblowi nie mogły wybaczyć jego majątku (mieszczaństwo zawsze przerzuca, jako hańbę, na przeciwnika to, co skrycie idealizuje). Dalej dowiadujemy się znów za pośrednictwem Sadoula, że mowa jest „głosem nietylko rozumu, ale i głupoty, namiętności, zdrowia i choroby, *zmysłów i żołądka*". Jest to odkrycie druzgocące; widzimy tu, jak p. Grubiński, cichy apologeta zmysłów i żołądka, uśmiecha się pobłażliwie. Tak, wogóle ten uśmieszek wyrozumiałości, to porozumiewawcze robienie oka: patrzcie i podziwiajcie, jaki jestem inteligentny! Tam, gdzie ludzie w najwyższej męce, ze srogą i nieubłaganą pasją apostołów, walczą w ostatecznem napięciu muskułów i mózgów o nowy porządek, o odnowienie oblicza ziemi, tam p. Grubiński znajduje tylko okazję do popisywania się płaskiemi kawałami, do wywracania starych koziołków. Raz jeszcze dla gawiedzi, która mieni się inteligencją, powie kilka zleżałych facecyj, błyśnie swądem zapożyczonych paradoksów, które przypominają żabki sztubackie, i pławić się będzie w „poczuciu wyższości".

„Ja mam willę we Włoszech" — mówi Gorkij w subtelnej komedji p. Grubińskiego (o, szczycie marzeń!). Oto co wie z dramatu dziejów, oto czem się przechwala; czego podszewkę w sposób filuterny pragnąłby odsłonić polski dramaturg, p. Grubiński. Przypomina w tem przysłowiową żabę, która łapę podstawia tam, gdzie konia kują: zapomina, że za to można oberwać. Nie niepokoi go nic, ma uszy szczelnie zatkane sybarytyzmem, jak watą: coś tam słyszał, ale nie wie, w jakiej to dzwonią parafji. Potem Gorkij żałuje jeszcze „kaloryferów, elektrycznych tramwajów, bruków kostkowych (!)" i t. d.: słowem, oczywista, całej kwintesencji kultury w interpretacji p. Grubińskiego. Tu nareszcie figlarny dramaturg odsłania maseczkę. Jak pod tylu innych, niepotrzebnie podszywa się pod Gorkiego p. Grubiński. Bo cokolwiek możnaby zarzucić Gorkiemu, jako ideologowi i pisarzowi, z pewnością nie poświeci on tragicznej wielkości dla wygodnego komfortu waterclosetów. A to, to właśnie, jest ideałem podobnych p. Grubińskiemu. To jest dlań szczytem i sprawdzianem kultury! Dlatego sądzę, że z czasem p. Grubiński potrafiłby (dla teatrów ludowych, już nie dla „elity") napisać entuzjastyczną sztukę patrjotyczną, wtedy gdy ojczyzna jego całkowicie będzie — skanalizowana.

Oczywista, b. despota, Mikołaj, jest tutaj obrońcą „wolności", Lenin — ciemiężycielem. Cóż prostszego, cóż bardziej oczywistego! Podobne „odwrócenie ról" tak niewiele kosztuje: można je spotkać w co drugiem wydaniu porannych dzienników! A przedstawione ze swadą, jakiż budzi podziw! Kogóż, jeśli nie p. Grubińskiego, powitać ma jednomyślny okrzyk zachwytu: „Jak ślicznie, lekko tańczysz pan!" Potem dowiadujemy się także z nieomylnych ust p. Grubińskiego, że wogóle nic się nie zmieniło, tylko „zostało pomalowane na czerwono": z jakiegoż to znów artykułu wstępnego zostało ściągnięte? Na to nie pozwoliłby sobie nawet sam mistrz nad mistrze, z którego p. Grubiński rżnie bezceremonjalnie, boski Anatol France! Już Ben-Akiba stwierdził, że niema nic nowego pod słońcem: oto cała ideologja p. Grubińskiego. Jest to pouczające. Dowiadujemy się przynajmniej dokumentarycznie, jak wielki dramat dziejów odbija się w błyskającym monoklu polskiego, „z najlepszych sfer", półinteligenta. Nie braknie tu także odrobiny bankietowej „filozofji" dla wyfraczonego motłochu.

Inteligencja?... O, tak; ta błaha inteligencja, starannie omijająca zagadnienia, ślizgająca się po powierzchni (w tem można dojść do wielkiej wprawy), biorąca liczmany za idee, a zgrabne zdania za myśli. Zamiast literatury — makulatura! Banalizowanie, trywializowanie, wulgaryzowanie, robota demagoga z five o'clocku! Jakże nazwać to, jeśli nie cynizmem sytych? Ale wtedy p. Grubiński zasłoni się *życiem*, bardziej beztreściwem i ogólnikowem, najbardziej sprostytuowanem. Oto w końcu odkryte są jego karcięta! Ale dość tej szulerni! Czas zamknąć budę!

I oto, gdy tak wszystko zniwelowane jest do poziomu własnego móżdżku, mógłby ogarnąć nas strach. Oto jest teatr polski na eksport. Ale w porę wyrasta wizja wręcz niesamowita: sztuczka tak ślicznie jest wydana, tak zręcznie zrobiona, tak lekkostrawna. „Tłusta langusta wpada mu w usta, potem chablis". Jakie to straszą nas widma z przeszłości, jakie powstają upiory? Czynimy z odkryć największe: p. Grubiński to nikt inny, jak zamaskowany Esik, Esik we własnej osobie! I do tego *Esik podrabiany!* Cóż za triumf!

Jeśli kto mi zarzuci jednostronność lub uprzedzenie.... Ależ do mikrobów niepodobna bić z grubej Berty. I tak w dziele tam, jakby w prawdziwej twórczości, zostanie zawsze coś z tajemnicy. Nie przestanie nas nigdy niepokoić okładka tej jakże salonowej komedji; czyż to pegaz na niej zręcznie wyobrażony? Jakiż to, jakiż rozbrykany czworonóg wypina się z niej ku gwiazdom?

Stefan Napierski.

PROPAGANDA KULTURY POLSKIEJ ZAGRANICĄ

„Sztuka i artyści w Polsce"

Dwutomowe dzieło Jana Topassa

Kilka ważkich, teoretycznie — zdawałoby się — słusznych, względów a priori przemawiało na niekorzyść tego wydawnictwa.*) W czasie kiedy Topass przystępował do swojej pracy, piśmiennictwo nasze nie posiadało jeszcze dzieła obejmującego całokształt produkcji artystycznej w Polsce. Dziecięce choroby pierwszego, na tak szeroką skalę zakreślonego, utworu historyczno - krytycznego wystąpią — przypuszczać można było — w anormalnie ostrej postaci, nie wszystkie bowiem dziedziny i epoki, nie cały materjał dokumentalny został już w sposób wyczerpujący zbadany. Niemałe również trudności przedstawiała w danym wypadku sumienna ocena estetyczna zabytków sztuki, zważywszy, iż autora dzieliła wtedy od nich duża odległość, znakomicie, nawiasem mówiąc, umniejszona wyjątkową precyzją osobistych wspomnień oraz uprzednio, dewisu poczynionych spostrzeżeń. Zachodziła jeszcze jedna ewentualność, której czytelnik, nie znający uczciwości pisarskiej Topassa, mógł się obawiać: że we francuskiem wydaniu, przeznaczonem w pierwszej mierze dla zagranicy, skłonny on będzie, w najchwalebniejszych zresztą intencjach, „zretuszować" bądź świadomie, bądź bezwiednie, wizerunek naszego dorobku artystycznego. Że lawirowanie pomiędzy propagandowem wyjaskrawieniem rodzinnego pierwiastku twórczego a kurtuazyjnem akcentowaniem poważnych wpływów obcych zawiedzie go, w ostatecznych wnioskach, na mieliznę kompromisowego pseudo-objektywizmu.

Już sam jednak wybór tytułu dowodzi, że skomplikowane to zagadnienie zostało starannie przemyślane i głęboko ujęte. Istotnie, zamierzając omówić wszystkie okresy, scharakteryzować wszystkie style i kierunki, wymienić wszystkich zaznaczenia godnych budowniczych, rzeźbiarzy, malarzy i t. d., nie można dawać nagłówka: „Sztuka polska". Zakrawałoby to na „imperjalizm estetyczny", o który Topass nawet wówczas, gdy umiejętnie, z erudycyjną swadą wykazuje polskość Wunderlicha, Wita Stwosza, Bacciarelliego, Norblina i t. d., posądzony być nie chce. Obszerny, świetnie napisany wstęp całkowicie poświęcony jest rozważaniom na temat swoistego charakteru polskiej sztuki. Kategoryczne twierdzenie, że nie od dziś, lecz od wieków posiada ona niezaprzeczalną odrębność narodową, opiera się na szeregu trafnie dobranych argumentów rzeczowych. Nie wyklucza to faktu, że istniały liczne, mniej lub więcej silne wpływy bizantyńskie, niemieckie, włoskie, francuskie, których autor bynajmniej nie neguje, komentując je z zupełna bezstronnością. Zasadnicze credo jego w tej dosyć drażliwej kwestji, z tak niedwuznaczną jasnością na początku wyłuszczone, dla jego zasługuje na podkreślenie, że stanowi ono o całej wewnętrznej strukturze dzieła — o objektywnym krytycyzmie analitycznym, o subjektywnych konkluzjach, charakteryzujących estetyczną fizjognomję poszczególnych działów, epok, zabytków i artystów.

Sam temat, t. j. dzieje sztuki w Polsce oraz jej wybitniejszych twórców, opracowany jest z uznania godną sumiennością, słusznie przez fachowych sprawozdawców francuskich wyróżnioną. Podany na końcu każdego tomu wykaz prac, z których Topass korzystał, — nie należy uważać tego spisu za bibljografję przedmiotu, — świadczy, że wszystek dostępny mu materjał naukowy został przezeń zbadany i uwzględniony. Dobrze postąpił, drobiazgowo, barwnym stylem przedstawiając wygląd cenniejszych budowli, rzeźb i malowideł, zwłaszcza tych, których reprodukcja nie jest podana, — dla cudzoziemca nie znającego ani naszego kraju, ani naszego języka, ma to doniosłą wartość informacyjną. Obszerne miejsce, udzielone historji sztuki stosowanej — złotnictwu, rusznikarstwu, medaljerstwu, tkactwu, hafciarstwu i t. d. — mówi o doskonałem zrozumieniu nader ważnej roli, odegranej przez te rzemiosła artystyczne w całokształcie cywilizacji polskiej. Ciągła dbałość o traktowanie tematu w ramach ogólnego życia narodowego, na tle indywidualnych właściwości psychicznych, jest zaletą, która czyni książkę dla zagranicznego czytelnika jeszcze bardziej zajmującą i pouczającą. Dotychczasowa działalność pisarska Topassa, ostatniemi laty ujawiająca się, niestety, prawie wyłącznie w literaturze francuskiej, acz poruszająca najczęściej zagadnienia twórczości polskiej, dawała zupełną rękojmię, że i ta jego praca znajdzie się na wysokim poziomie trudnego kunsztu, którym jest każda historyczna synteza krytyczna.

Uwaga końcowa: wyszły dotąd dwa tomy, obejmujące dzieje sztuki w Polsce od jej zaczątków aż do epoki przedromantycznej. Czynniki, którym propaganda zagraniczna *istotnie* leży na sercu, winny dołożyć wszelkich starań, by trzeci tom, również już gotowy i doprowadzający przegląd sztuki naszej aż do dzisiejszych dni, ukazał się, i to nawet jak najśpieszniej. Wydawca paryski i pisarz polski znakomicie wywiązali się z dobrowolnie przyjętych na siebie obowiązków, lecz jest to pierwszy etap akcji — jej dalszy rozwój pomyślny zależy od Warszawy...

*) Art et Esthétique. Etudes publiées sous la direction de *M. Pierre Marcel*. L'art et les artistes en Pologne. Par *Jan-Topass*. Paris, Félix Alcan. — Au Moyen Age. 1923; p. 136, pl. 16. — De la Primerenaissance au pré-romantisme. 1926; p. 164, pl. 16.

Notatki

Nowa powieść Chateaubrianta. Pojawiła się nowa powieść Chateaubrianta p.t. „La meute".

Nowa powieść Lewisa. Sinclair Lewis wydał nową powieść p. t. „Elmer Gantry".

Zdjęta z repertuaru. Sztuka Welka „Gewitter über Gottland", o której pisaliśmy w nr. 176 „Wiadomości", została już zdjęta — jako „nieprawomyślna" — z repertuaru berlińskiej „Volksbühne".

Gloria Swanson w Europie. Podobno Gloria Swanson ma zamiar założyć własne atelier filmowe pod Nizzą.

Ile zarabia Tom Mix. Gaża Toma Mix wynosi obecnie 18.000 dolarów tygodniowo. Inny specjalista od cow-boyów, Fred Tompson, zarabia 15.000 dolarów.

„Balet dziesięciu" Wkrótce będzie wystawiony w Paryżu balet skomponowany przez dziesięciu wybitnych muzyków francuskich. Oto ich nazwiska: Auric, Dellanoy, Ferroud, Ibert, Manuel, Milhaud, Poulenc, Ravel, Roussel, Schmidt.

Jacob jako malarz. Znany poeta Maks Jacob urządził wystawę swych akwarel w paryskim salonie „Quatre Chemins".

Portret Kierenskiego w sowieckiem muzeum... Riepin ofiarował jednemu z muzeów moskiewskich portret Kierenskiego. Bolszewicy byli początkowo zaskoczeni tym niemiłym prezentem, ale w końcu zdecydowali się przyjąć obraz wielkiego malarza ze względu na jego wartość artystyczną.

Kronika słowiańska

— Praca czeskosłowacka poddała ostrej krytyce statut nagrody literackiej im. Jiraska i Masaryka, oponując przeciw decydowaniu w sprawach artystycznych laików... z magistratu miasta Pragi. Prawdopodobnie statut ten będzie zmieniony.

— Wspaniała publikacja o nowym czeskim teatrze, mimo wysokiej ceny, rozeszła się w przeciągu kilku tygodni i ukazała się w nowem wydaniu. Wogóle wydawnictwa artystyczne i bibljofilskie, drukowane w bardzo ograniczonej liczbie egzemplarzy i dochodzące nieraz do ceny kilkuset złotych, są rozprzedawane w zupełności, często jeszcze przed wyjściem z druku, w drodze subskrypcji.

— Nakładem drukarza-bibljofila Portmana w Litomyślu ukazał się tomik, zawierający 10 wierszy największego poety czeskiego Otokara Breziny, drukowanych w pismach w latach 1893 — 1901, a nieobjętych żadnym zbiorem poezyj tego autora. Książeczkę tę odbito zaledwie w 24 egzemplarzach. Stanowi ona jedną z najcenniejszych pozycyj w czeskich wydaniach bibljofilskich.

— Premją dla członków Towarzystwa Bibljofilów Czeskich ma być książka Karola Čapka: „Ostatnia epopea, czyli romans dla służących". Książka ta nie znajdzie się na rynku księgarskim.

— Nakładem „Aventinum" ukazał się tom nowych poezyj Antoniego Sowy: „Prostacka miłość".

Ponure „demaskowanie"

Janusz Stępowski. S. O. S. Prawda o Tadeuszu Since. Kraków, 1927; str. 19 i 1nl.

Ta mała broszurka jest ciężkim aktem oskarżenia przeciw prof. Since jako krytykowi literackiemu i uczonemu. W Krakowie wojuje „Głos Narodu" z prof. Sinką już rok cały czy dłużej, p. Stępowski zebrał te wszystkie kamienie na jedną kupę i jeszcze raz chce niemi przygnieść profesora. Co jest źródłem tej kampanji przeciw p. Since, trudno się nam domyślić tu z Warszawy. Przypuszczam, że powody są rzeczowe, nie osobiste, ale, niestety, nie widzę w całej tej kampanji nic zasadniczego i interesującego. Może zresztą p. Stępowski ma we wszystkiem słuszność, może p. Sinko dopuścił się różnych plagjatów, lekkomyślności i przegapień. Ale jeżeli nawet p. Stępowski we wszystkich szczegółach ma rację, w całości nie ma racji. Summum jus summa injuria. Egzekucja moralna jest zawsze także mordem moralnym. Jeżeli może być kwestją, czy kara śmierci nie jest przecież zgodna z piątem przykazaniem, to tego rodzaju kamienowanie t. zw. szkodnika wywiera na postronnych widzach niewątpliwie wrażenie ponure i pobudza ich mimowoli do protestu. Pan Stępowski postąpił jak oprawca i widocznie lubuje się w tem rzemiośle, skoro już drugi nakład tej broszury w świat wypuszcza. Poco? Czy ją tak rozkupują? Nie, to się rozsyła.

Dowody zebrał p. Stępowski bardzo twarde, ale, mojem zdaniem, jeżeli się nie przytoczy także wszystkiego, co przemawiałoby na korzyść przeciwnika, — rzecz taka budzi nieufność i jest bez wartości, mimo twardych pozorów. Jedną sprawę znam bliżej. Pan Sinko, pisząc naprędce nekrologiczny artykuł o Żeromskim, posłużył się broszurą Jampolskiego „Żeromski, duchowy wódz pokolenia", wyjął z niej różne gotowe sformułowania. Powtarzam: sformułowania, a nie myśli, broszura Jampolskiego jest od początku do końca frazeologiczna, coś à la Feldman, rekapituluje to wszystko co się da powiedzieć o Żeromskim według dotyla już utartych i wytartych poglądów. Bardzo brzydko postąpił p. Sinko, ułatwiając sobie w ten sposób robotę i podpisując się pod nią. Ale wystarczyło o tem napisać raz, a nie obnosić się z odkryciem triumfalnie i uwieczniać je w osobnej broszurze. Takie kradzieże dość wykazać, są to sprawy jasne. To nie zatruwa atmosfery, nie myli, bo nawet całkowity plagjat niewykryty w końcu samemu plagjatorowi na nic się nie przyda — prócz doraźnego zarobku. O wiele gorsze i ważniejsze są te kradzieże literackie, kiedy kradnie się myśli, pomysły, formy, i zaciera się za sobą ślady. A ten gatunek plagjatów nasi literaci uważają za dozwolony, chronią go pod nazwą „wpływów" (głupia kampanja przeciw t. zw. wpływologji) czy „prądów epoki" i krzyczą, żeby im prawa do takich kradzieży nie odbierano. Na tle takiej kultury literackiej jaskrawy plagjat Sinki, Boyego, Brucza znajduje pewne usprawiedliwienie, — jest to kradzież, że tak powiem, uczciwa.

Co do wypadku z plagjatem u Jampolskiego, to dno sprawy, proton pseudos, byłoby takie, że winien tu jest ów szablon dziennikarski, który wymaga na gwałt artykułów aktualnych i to tylko panegirycznych. Złą stroną twórczości wielkich autorów jest to, że rozpętują orgję głupstwa i bałwochwalstwa.

Pan Stępowski napisał powieść, lecz w broszurze swej nie zachowuje się jak literat. Brak mu tu subtelności, niuansów, szukania sobie zagadnień. Rąbie jak żołnierz lub jak polityk walczący z kontrkandydatem w okresie przedwyborczym. No, ale polscy literaci poza swoją urzędową twórczością zwykle tak się zachowują. Może być, że p. Sinko jest w Krakowie tak potężny, że inna forma walki z nim byłaby niebezpieczna. Dziwi mnie jednak, że literat nie zdołał przemycić nic literackiego (w najlepszem słowa znaczeniu). Mam tu na myśli m. in. taką np. sprawę. Pan Sinko zarzucił p. Stępowskiemu, że występuje przeciw niemu ze względów osobistych, i p. Stępowski replikuje, że p. Sinko sądzi widocznie według siebie. Ten poziom psychologiczny zarzutów jest ordynarny po obu stronach. Ordynarny już nie pod względem towarzyskim, który tu w grę nie wchodzi, lecz pod względem intelektualnym. Jak sprawę „względów osobistych" należy traktować — pokazałem w rozprawie o perfidji. Zadaniem mojem jest wogóle metody w tego rodzaju sporach uczynić godnemi literatów, i dlatego do niniejszego sporu się wtrącam.

Jeszcze jedna brutalność. Na pytanie: kim jest recenzent Sinko? — odpowiada p. Stępowski: chemicznie wypranym z wszelkiej wrażliwości estetycznej... Od czasu kiedy ktoś o Rydlu użył słów „chemicznie wyprany z talentu", teraz stosuje się je przy każdej sposobności, ilekroć chce się wypowiedzieć sąd arbitralny i arogancki, taki, jakich tyle się sypie zarówno w Atenach warszawskich jak i krakowskich. A taka uzurpacja to gorsze od niewrażliwej recnzji. Kto o kim? Ale nawet Żeromskiemu nie wolno w ten sposób mówić o najgorszym grafomanie. Petryfikowanie ludzi, określanie ich raz na zawsze, jest zbrodnią przeciw Duchowi Świętemu.

Widziałem już różne kampanje i naganki: przeciw Erenbergowi, Nowaczyńskiemu, Brzozowskiemu... I o każdej takiej „kampanji" myślę to samo: —

że najstraszniejszym jest partacz, który ma trochę racji.

P. S. O ile mi wiadomo, prof. Sinko kilkakrotnie na zarzuty odpowiadał. Dlaczego tych jego odpowiedzi w broszurze nie zamieszczono według zasady: audiatur et altera pars? Dopiero wtedy miałby p. Stępowski prawo do swojej odwagi.

Karol Irzykowski.

O władzę nad światem

Pod Znakiem Poetów. Serja nowa. *Kazimierz Wierzyński.* Laur olimpijski. Warszawa, J. Mortkowicz, 1927; str. 4nl. i 24 i 8nl.

Sport w czasach obecnych odgrywa nierównie większą rolę, niż w starożytności. Do dzisiejszego dnia wprawdzie, pod sugestją rachitycznej wiedzy, szerzonej w szkole, zwykliśmy się automatycznie odwoływać do tych złotych czasów, kiedy to szybkobiegacz Achilles, Hieron syrakuzański, Rodyjczyk Diagoras czy też Milon z Krotonu... Wszystkich tych jednak bohaterów pankratjonu, zwycięzców z pięcioboju, triumfatorów igrzysk olimpijskich, istmijskich, nemejskich i lernejskich, już dawno zostawiliśmy za sobą.

Rekordy, ustalane dziś na międzynarodowych igrzyskach olimpijskich, przechodzą znacznie najśmielsze wysiłki bohaterów pentathlonu; nic więc dziwnego, że sport, który w starożytności tak nierozłącznie zespolił się ze sztuką w rzeźbie Fidjasza, Poliklety, Lizyppa, w poezji Pindara, Bakchilidesa, — obecnie również w ekspansyjnym rozroście przelewa się w sztukę — jak we Francji w twórczości Herni de Montherlant („Les onze devant la porte dorée"), lub u nas — Kazimierza Wierzyńskiego („Laur olimpijski").

Sport współczesny wyraża charakterystyczne cechy naszej epoki: kult nagiego, zdrowego i sprawnego ciała, tudzież etykę uszlachetnionej walki w międzynarodowej rywalizacji jednostek i zespołów.

Przypomnijmy sobie dychawiczne piersi i przepite gardła nastrojowców, którzy przez dłuższy czas powabem suchotniczej histerji, poezją brudnej koszuli i zbakierowanej krawatki olśniewali równie bladolice i niedomyta kokoty. Cała ta kudłata, zamorusana i majacząca hałastra została teraz wywłaszczona z prawa głosu i pogłosu na rzecz pełni zdrowia, siły i rozrostu. Proces ten odbywa się zarówno w życiu jak i w sztuce. Pierwsze wiersze „sportowe" pisał u nas, jak się zdaje, Kazimierz Tetmajer, który swoim zjełczałym czasom przeciwstawiał antycznego „Dyskobola". Wierzyński jest o tyle w szczęśliwszem położeniu, że nie czuje rozdźwięku między sobą a epoką swoją, że stając na stanowisku człowieka aprobującego teraźniejszość, wypracowuje formy tej ekspansji, która zdobywa przyszłość.

„Laur olimpijski" poety z tego punktu widzenia jest jednym z najznamienniejszych objawów naszej epoki.

„W zdrowem ciele — zdrowe cielę" — parafrazował niegdyś „Momus" znaną sentencję mądrości narodów. Obecnie ten świetny zresztą koncept jest już jawnie zwietrzały. Na widok człowieka chorego, manjaka, mizantropa, histeryczki, ogarnia nas czysto estetyczne obrzydzenie. Słuszna więc, że sztuka, wyrzekając się bezpłciowo uszlachetniającego humanitaryzmu romantyków, stara się wypracować nowe formy życia, któreby zadowoliły, w jednakiej mierze potrzeby naszego uczucia, rozumu i woli. W poszukiwaniu tego nowego typu człowieka zwraca się nie do łamag, koślawców i paralitycznych marzycieli, jak to czynią obecnie jeszcze epigoni romantyzmu, lecz do ludzi „rekordowych", wytrzymujących miarę międzynarodowego wyścigu — w biegu na przełaj, w rzucie dyskiem, skoku dystansowym o tyczce i bez niej, — słowem nie do gatunku hominis sapientis Przybyszewskich i Berentów, lecz do Carpentiera, Nurmiego, Hoffa, Dempseya — et si licet.. Królikiewicza, Toczka, Szoslanda i Haliny Konopackiej.

Jakież są hasła tego nowego typu człowieka?

„Nasza pieśń nie zna waszych uniesień
i wieszczeń,
Inny sztandar nas zwołał i na czołach
legł, —
My sławimy natchnienie, muskuły i
przestrzeń,
Serce, co maratoński wytrzymuje bieg".

W programowej „Defiladzie atletów" ustala Wierzyński tę zdobywczą, „rekordową" postawę wobec życia, która polega na wolnym, nieskrępowanym niczem doborze ludzi o światoburczej woli, o nieskruszonych mięśniach i maratońskiem sercu. W tym bohaterskim wyrywie mieści się nie tragiczna, — jakbyśmy rzekli wczoraj, — lecz meljorystyczna konieczność ustawicznego przerastania siebie, poddawania swemu imperjalizmowi zarówno fizycznemu jak i psychicznemu możliwie najszerszej sfery rzeczywistości.

Nie szkapy dychawiczne tkliwego smętku i żałosnych rozpamiętywań stają wszak do zawodów, lecz zapaśnicy o sprężonych muskułach, którzy z tysiącznych prób wyszli zwycięsko — i przybyli tu — na wszechludzki wyścig międzynarodowej sprawności, by znaleźć lepszych od siebie. Jest w tem wbrew tkliwemu pacyfizmowi Wittlinów i Zegadłowiczów — apoteoza swobodnej walki na udeptanej ziemi wszędzie i zawsze, z każdym — o każdej porze, upojna świadomość wzrastającej ustawicznie skali wymagań i poziomu życia, do którego człowiek albo dorość musi, albo stanie się szczeblem wspięcia się przeciwnika.

W konsekwencji społecznej prowadzi do wysunięcia hierarchji tych, co w biegu naprzełaj ludzkich rozbieżności, mimo wirażu parabolicznych skrętów w momencie upadku, wzlotu i podźwignięć — przetrwają, ustoją — i sztabą piersi w ostatnim nadludzkim wysiłku roztrącą rogatki mety, by poza sferą ludzkich już wydarzeń, dąsem zgryzionej wargi mierząc łachman zbiegłej drogi, przeżyć, jak Amundsen na biegunie, ten straszliwy moment przeciekającego między palcami ubóstwa swego triumfu, niewspółmiernego już z urokiem żadnych ziemskich laurów.

„Lecę... oślepły śnieżystą kurzawą,
Pomniejszony o świat wasz, przybity
mą sławą,
Skrzydłami nad stolicą szumię znużonemi,
Ostatni łuk zataczam i siadam na ziemi,
By tu wśród waszych krzyków, wśród
barw i wiwatów
Bezradny stać i niemy, jak trumna wśród
kwiatów,
I — zamykając oczy — powoli wkrąg
głowy
Owijać chwałę straszną — jak wieniec
cierniowy".

Międzynarodowy wyścig sportowy, którego najszlachetniejszem wcieleniem jest zdobywca obu biegunów, będzie dla Wierzyńskiego świadectwem celowej koordynacji rzeczywistości w kierunku wytkniętym przez *człowieka kosmicznego*, który przerasta miarę dosięgalności atlety i myśliciela, który, znużony jak Atlas wątłem brzemieniem ziemi, ogląda chciwie wszechświat, szukając bryły na miarę kosmicznej skali swej tężyzny.

„Oto jest podróż wielka początku i końca,
Pośród planet rozpięta na kole
transmisji, —
Człowiek, istota boska i triumfująca,
Nad światem, jak tablica z drogowskazem,
wisi".

Ten uniwersalistyczny stosunek do życia tłumaczy nam i „globową" obrazowość poety „szturmującego lądy" lub gasnącego jak „astralna łuna". Najklasyczniejszym przykładem tego ukosmicznienia obrazowego skarbu rzeczywistości będzie „Match footballowy", w którym „Zamorra wsparty w bramce o szczyt Pirenejów" śledzi kulę świetlistą „z Uralu w bój posłaną". Kosmiczna skala tej obrazowości, operującej z równą swobodą wszystkiemi częściami świata, lądem, morzem i gwiazdną przestrzenią, zadomawia nas we wszechświecie tak jak ongi Mickiewicz czuł się swojo nad Niemnem, Słowacki nad Ikwą lub Asnyk — w Kaliszu...

W świetle tych cyklopowych przerzutów i globowych przenośni pryska bańka mydlana zaściankowej obawy przed otaczającym światem, który staje się w całym bezkresie swoich możliwości dźwignią naszego wsparcia, ramieniem naszego rozmachu.

Nadchodzi czas, — widzą go oczy poety, — gdy „terra incognita" straci cały urok swej zmurszałej legendy.

Zbliża się czas, gdy nietylko „kraj nasz lat dziecinnych", gdy nietylko ojczyzna, ta czy inna część świata, lądy, góry i morza, lecz ziemia cała w bezwstydzie nagości swojej i obnażeń, odarta z białych plam swych niezbadanych, szerokości, podziurawiona świdrami głębinowych szybów, stanie się dla nas — dobrzyńskim zaściankiem, w którym zbyt tłoczno się stanie, duszno i nieukładnie dla ludzi na miarę Amundsena.

Nadchodzi czas — po zdobyciu równika i biegunów, po zbadaniu geoidalnych krzywizn i wypukłości, — gdy ziemię, wtłoczoną w siatkę kulistą południków i równoleżników, rzucić będziemy mogli jak kamień z dłoni procarza na zdobycie nowych nieprzewidzianych światów.

I ku tej godzinie kosmicznego czynu, dla którego ziemia może być tylko odskocznią wzlotu, człowiek o nieskruszonej woli i nieosłabłym na żadnej wysokości czy szerokości geograficznej oddechu — wyciąga ramiona, by ująć kierownicę władzy and światem, wszechświatem et... quibusdam aliis.

Polska, która na pośmiewisko wszystkich innych narodów i ku rozbrajającej uciesze pacyfizującego po klęsce listopadowej pokolenia romantyków, — od w. XVI zrezygnowała z wspaniałej polityki zaborczej pierwszych Piastów; Polska, która w swoich dziejowych wywczasach wagę spaśnego brzucha szlacheckiego przełożyła nad monumentalny wysiłek Kolumbów, Kortezów, Pizarrów i Jermaków, — teraz zbudzona z drzemki wieków do życia niepodległego, musi uświadomić sobie prawdę, starczącą za wszystkie krople laurowe religijnej kontemplacji, że *nie rozrastając się — giniemy;* że droga ekspansji we wszystkich kierunkach, imperjalizm zdobywczy Amundsenów i Orlińskich, przelewający się zachłannie na cały okrąg świata i wszechświata, jest jedynem prawem życia i ostania się. A na to poczciwości staropolskiej czy pełnej rezygnacji miłości mistycznej romantyków jeszcze trochę za mało.

Książka Wierzyńskiego, zdobywająca dla poezji nowe tereny wzgardzonej dotąd przez nią rzeczywistości, mimo pewnych niedociągnięć i niedomówień jest wspaniałym wyrazem tego imperjalistycznego zasięgu, który stać się powinien motorem naszej pracy zarówno politycznej, społecznej jak i artystycznej.

Jan Nepomucen Miller.

Poezja sprawiedliwości społecznej i uczucia religijnego

ANATOLA STERNA

BIEG DO BIEGUNA

Wydawnictwo Księgarni F. HOESICKA

Utopja Nowaczyńskiego

Adolf Nowaczyński. System dra Caro. Utopja humorystyczna. Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. 233 i 1nl.

Nowaczyński nazywa „System doktora Caro" utopją humorystyczną. Zadaniem utopji jest wykreślanie dróg w przyszłość, inaczej — z kryyki omawianego ustroju lub warunków wysnucie w przyszłość sięgających wniosków, dyrektyw. W istocie rzeczy utopja jest obosieczna, gdyż poza planem futurystycznym (w rozumieniu Karola Irzykowskiego: dawanie wizji przyszłości rozwojowych) znajdujemy w niej bodajże jeszcze ostrzej zaznaczony stosunek krytyczny do aktualności, stosunek negatywny. Tę właśnie stronę podejmuje Nowaczyński. Założeniem technicznem, inżynierskiem, powiedziałbym, „Systemu doktora Caro", które musi być podstawą wszelkiej utopji, gdyż rozwój staje się przeważnie przez rewolucję, na wynalazku opartą, — jest szeroko rozwinięty kalambur. Dzięki zastrzykowi krwi genjalnych Fallaszów, Semitów abisyńskich, któremu poddaje się dwudziestu Polaków, przemysłowców i inteligentów, stają się oni genjuszami i przebudowują Polskę od samych jej podstaw ekonomicznych. Ten fundamentalny dowcip usprawiedliwia Nowaczyński w podtytule, gdyż „System doktora Caro" jest „utopją humorystyczną", utopją nieprodukcyjną pod względem społecznym, życiowym, praktycznym, — raczej negatywem życia. Zarzucano Żeromskiemu, że szklane domy są mrzonką, że

ADOLF NOWACZYŃSKI
portret St. Ig. Witkiewicza

spółdzielczość, związana z filantropją, musi się załamać, ale zawsze, gdy kreślił on jakąś formę możliwego życia, projektował ją tak jak gdyby miał ją wcielić w życie. To samo widzimy w „Błędzie" Kisielewskiego spółdzielczej utopji na sposób Żeromskiego. Ale gdy oni budowali własnoręcznie mur, o który rozbijali głowy swych bohaterów, Nowaczyński z sumienną złośliwością rysuje przed nami profil Wielkiego Kołtuna współczesności, zadawalając się pokazaniem pryszczy na skórze jego duszy.

W „Systemie doktora Caro" dadzą się wyeliminować dwa plany: historja odmłodzenia inżyniera Tymoteusza Korejsy - Kołtońskiego oraz perspektywy ekonomicznego risorgimenta Polski w latach siedemdziesiątych XX stulecia. Życie Kołtońskiego jest nanizywaniem na nić akcji obserwacyj i obserwacyjek, notatek, spostrzeżeń, całego balastu umysłowego tabetyczniejącego w dobrobycie człowieka. Cała ta straszliwa mieszanina jest jednak zorganizowana w myśl pewnej wygody życiowej, układa się w obojętne zainteresowania, pół-umysłowej, a przeważnie towarzyskiej natury. Mamy tu jak gdyby krystalizację zainteresowań dookoła trzech osi, jakże dziwnych: Steinacha, Bergsona, Einsteina. Wielką encyklopedją Kołtońskiego są gazety. Nie jest to pokazane wprost, ale przez aluzje, gdyż właśnie dzienniki urabiają taki typ inteligencji syntetycznej, na wszystkiem się znającej, we wszystkiem orjentującej i pragnącej poznania nowej wiedzy. Co ciekawsze, zainteresowania te są praktyczne; dzięki nim Kołtoński odzyskuje młodość, i to młodość twórczą. Dzięki tej nowej energji powstaje nowa, zamerykanizowana Polska.

Tymoteusz Kołtoński jest rodzajem Podfilipskiego, zgnuśniałego i używającego tylko rozkoszy gastronomicznych, snującego myśli na temat codziennego życia, a pokładającego całą swą nadzieję w odmłodzeniu się systemem doktora Caro. Jest to człowiek o rudymentarnem uświadomieniu i energji społecznej, który nawet nie potrafi zbijać pieniędzy. Coś w rodzaju społecznego pithecantropusa, żyjącego w doskonałych, choć obojętnych, ustalonych, zniwelowanych stosunkach.

Można dopatrywać się w „Systemie doktora Caro" próby wykreślenia granic tego pokładu gnuśności filisterstwa, ale takie badania zakładają jednak program. Tendencja utworu jest jasna przez kierunek, w którym prowadzony był przekrój; jest również oczywiste, że autor dopinguje czytelnika (nie śmiałbym dopatrywać się dopingu w stosunku do samego siebie), ale jest to doping w próżni. Pobudzanie do czego? Może lekarstwo działa automatycznie, jak bańki np. przyciągające krew do tego miejsca ciała, na którem się je postawi. Bądźmy jednak odważni. Przypuśćmy, że krzywe zwierciadło autor stawia przed każdym czytelnikiem. A wtedy ostrze satyry rozszczepi się na wiele kolców, z których możemy wybrać sobie dowolną ich ilość dla siebie, w zależności od stopnia rozrostu miłości własnej. Jest to jednak o tyle bezpieczne, że sadzanie podobnej rodziny minjaturowych sępów na wątrobie swego sumienia sprowadza się tylko... do przeczytania książki.

Henryk Drzewiecki.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Bibljoteka Groszowa. Redaktor *H. Zajączkowski.* Tom 98 — 100. *Teodor Dostojewski.* Skrzywdzeni i poniżeni. Powieść w 3 tomach. Przełożył *Władysław Broniewski.* (Okładka *S. Norblina).* Warszawa, (1926); str. 155 i 5nl. (I), 156 i 4 nl. (II), 148 i 4 nl. (III).

„Skrzywdzeni i poniżeni", jedna z pierwszych powieści Dostojewskiego, całkowicie prawie pozbawiona śladów wpływu Gogola, ma już w sobie ten specyficzny uchwyt, jaki potem krytyka nazywać będzie „dostojewszczyzną". Autor nie pozwala charakterowi zamknąć się w jakiejś formule, skrzepnięciu uczucia lub myśli, lecz rozbija ją zawsze przez negację, a negację znów przez negację negacji. Dostojewskij przeprowadza te systematyczne fluktuacje po mistrzowsku, gdyż jedna nie jest równa drugiej pod względem trwania i napięcia, a zawsze mniejsza lub większa. Stąd — wszystkie niespodzianki psychologiczne, jakie spotykamy co krok w „Skrzywdzonych i poniżonych", więc jednoczesna miłość i pogarda starego Ichmieniewa dla córki, stosunek Naci do młodego księcia, Smitha do matki Nelly.

Połączenie tej techniki ze stale stosowanemi sposobami romansu kryminalnego tworzy nie zlepek, a zorganizowaną całość, działającą to jedną swą stronę, psychologiczną, to znów drugą — kryminalną.

Przekład Władysława Broniewskiego bardzo dobry.

Bibljoteka Dzieł Wyborowych. Redaktor *Feliks Gadomski.* Tom 114 — 115. *L. Delarue-Mardrus.* Ziarno na wietrze. Powieść. Przełożyła z francuskiego *St. Heymanowa.* Tom I — II. Warszawa, 1926; str. 211 i 3nl.

Mocno, choć bez freudowskiego różniczkowania, zaznaczony stosunek dziewczynki do rodziców, sympatyczny, pełen miłości — do ojca i wrogi — do matki, stopniowo, w miarę rozwoju dziecka, przeradza się w stosunek do sztuki. Energja pierwotnego konfliktu przewartościowuje się w energję artystyczną. Ojciec — rzeźbiarz jest rozbitkiem życiowym. Jego misję artystyczną przejmuje córka, szczęśliwiej od niego pod względem temperamentu uposażona przez naturę. Przemiana dziewczynki nie dokonywa się odrazu. Efekt jest mocniejszy, gdy się prowadzi człowieka do zwycięstwa duchowego, do odkrycia siebie samego — poprzez upadek. Dziewczynka, zmuszona przez niedostatek do objęcia roli gospodyni domu, stopniowo poczyna rozumieć matkę, wiecznie zajętą pracą zarobkową i zdenerwowaną. Wychowanie małej siostrzyczki, przyczyny śmierci matki, dopełnia reszty. Ciężki wysiłek fizyczny — gospodarstwo i wychowywanie — otwiera nagle przed nią świat sztuki.

Na tem powieść się kończy. Nie informując już czytelnika o tem, co się stało dalej z dojrzewającą Aleksandrą, — autorka zamyka powieść spokojną, choć znaczącą kadencją. Przed Aleksandrą otwiera się droga sztuki, ale ona sobie jej nie uświadamia. W tem tkwi pointe'a. Ziarno rzucone jest przez wiatr. Wiatr wreszcie ustaje. Ziarno samo już poczyna kiełkować. Jakie będą dalsze jego koleje — niewiadomo, to obojętne. Chodziło tylko o doprowadzenie go do kiełkowania.

Powieść tę można nazwać „powieścią o otwartej perspektywie końca".

Bibljoteka Dzieł Wyborowych. Redaktor *Feliks Gadomski.* Tom 107. *Janina Lasocka.* Romantyczne pomysły. Warszawawa, (1926); str. 154 i 2nl.

Tom zawiera dwa utwory: „Romantyczne pomysły" i „Niezapomniana". Są to rzeczy, obok których można przejść co najwyżej obojętnie. Drażniąco naiwna forma, te zdradzane i kochające serca kobiece, ten tak banalnie robiony realizm, ta nieustająca miłość, — każą czem prędzej szukać jakiejś literackiej Lety niepamiętnej. Gdyby nawet, idąc za autorką, założyć, że miłość jest w życiu wszystkiem (poza małą resztą zawodowości), to i wtedy poezję można odkryć nietylko we wszystko obejmującej tęsknocie, ale i w tem, co jest żywem mięsem życia, w myślach, w uczuciach, naświetlanych miłością, choćby przez nią nie objętych, w fizjologji. Powiedzą: autorka jest kobietą... Cóż z tego? Przykłady: Nałkowską, Kuncewiczowa, Dąbrowska, Wielopolska. Właśnie nasze pisarki cechuje mocny temperament twórczy, analityczna postawa wobec zagadnień, duża kultura artystyczna. A p. Łasocka jest tak obojętnie naiwna, że nawet nie można podejrzewać jej o pozę. Wolałoby się zresztą pozę od takiej naturalności.

Norbert Igłowski. Jak Osman Kaoni życie poznał. Kraków, 1926; str. 159 i 1nl. — Ruina. Powieść. Kraków, Księgarnia Jagiellońska, 1927; str. 244.

Twórczość p. Igłowskiego posiada popodwójne dno. Przebiwszy górne, natrafiamy stale na ukryte, dolne — poziom tradycji przeciętnej polskiej powieści. Nowele pod tym względem nie różnią się od powieści, są jednak charakterystyczniejsze przez dobór tematów. Odwieczna u nas „tristesse de tout cela" mogłaby służyć za motto tym szaro zabarwionym utworom. Jest w nich coś bezsilnego.

hr.

Bibljoteka Narodowa. Serja II. Nr. 46. *T. M. Plautus.* Kupiec. Przełożył i opracował *Gustaw Przychocki,* Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1927; str. XXIV i 97 i 7nl.

Prof. Gustaw Przychocki, autor obszernej monografji o Plaucie, zapoznaje społeczeństwo polskie z wielkim komedjopisarzem rzymskim przy pomocy własnych przekładów, które wydaje w „Bibljotece Narodowej". Na początek (w r. 1924) poszli „Bracia" (por. nr. 51 „Wiadomości Literackich"). Te same zalety, co przekład „Braci", posiada tłumaczenie „Kupca", którego Przychocki spolszczył pierwszy. Wynika z tego, że ciekawa ta komedja cieszyła się u nas o wiele mniejszą popularnością, niż inne sztuki Plauta, przedewszystkiem „Trinummus", sparafrazowany już w XVI w. przez Cieklińskiego („Potrójny"). Zasługa Przychockiego jest przeto tem większa. Czekamy na następne komedje.

iw.

Henryk Grossman. Struktura społeczna i gospodarcza Księstwa Warszawskiego na podstawie spisów ludności 1808—1810. Warszawa, Główny Urząd Statystyczny, 1925; str. 4nl. i 108.

Autor stara się na podstawie nieznanego dotąd w historjografji spisu ludności z r. 1808 oraz późniejszego pełniejszego z r. 1810 dać jak najwięcej szczegółów statystycznych, dotyczących stosunków społecznych i gospodarczych społeczeństwa Księstwa Warszawskiego. Do tekstu dołączono 40 bardzo starannie ułożonych tablic statystycznych.

hw.

Bibljoteka Przekładów Dzieł Pedagogicznych. T. 4. *Georg Kerschensteiner.* Pojęcie szkoły pracy. Przekładu dokonała *Aniela Kierska* pod redakcją dr. *Feliksa Kierskiego.* Lwów, Książnica-Atlas, 1926, str. IX i 3nl. i 124.

Reformator monachijski wywodzi, że wychowanie jest środkiem do urzeczywistnienia idei moralnej najwyższego dobra zewnętrznego w dobrze zrozumianej służbie państwu, czyli celem może być tylko ten, kto pełni jakąś funkcję w tym organizmie, więc wyłaniają się trzy zasadnicze zadania szkoły: 1) wykształcenie zawodowe lub tylko przygotowanie do niego, 2) umoralnienie wykształcenia zawodowego i 3) umoralnienie społeczności, w której wykonywa się pracę zawodową.

Z pierwszego zadania wynika postulat fachowego i systematycznie prowadzonego nauczania pracy ręcznej, postulat tem ważniejszy, że wobec braku wczesnych a wybitnych zdolności intelektualnych u dzieci trzeba także kształcenie duchowe oprzeć na pracy ręcznej. Organizacja szkoły w duchu związku pracy (dzieci pracują w grupach) wytwarza świadomość, że nawet najdrobniejsza praca wychodzi na pożytek społeczeństwa, wyrabia ducha ofiarności, subtelność i poczucie odpowiedzialności i wdraża już w dzieciństwie do pracy w służbie jakiejś idei, czyli spełnia drugie i trzecie zadanie szkoły publicznej.

Zastosowanie metody szkoły pracy do różnych gałęzi nauczania jest, zdaniem autora, niezbędne, gdyż wyzwala z wytworów kultury tkwiące w nich wartości kształcące. I tu jest najsubtelniejszy punkt teorji, z którego wyszedłszy, może nauczyciel zejść na manowce, albo doprowadzić wychowanka do pełnego rozwoju duchowych i moralnych nawyknień. Musi tedy zrozumieć, że szkoła pracy nie polega na doczepianiu do wszystkich możliwych przedmiotów nauczania wszystkich możliwych prac ręcznych, ale na obmyśleniu takich prac, które wnikają w krąg wyobrażeń i sposób myślenia, właściwy danej dziedzinie nauczania. Dzięki wykonaniu takiej pracy uczeń „dorabia się wytworu kultury", jak to określa Kerschensteiner.

Jasna rzecz, że praktyczne wykonanie metody zależy jedynie od nauczyciela, i dlatego tu tkwią największe trudności.

Obok teorji znajdzie czytelnik w książce opis organizacji monachijskich klas eksperymentalnych z lat 1910 — 14, co wielce wyjaśnia wywody teoretyczne.

wj.

BRONISŁAW IWANOWSKI

„SERCE GRAMOFONU"

TOM PROZY POETYCKIEJ

rysunki Gronowskiego

Nakład F. HOESICKA

1927

Do nabycia we wszystkich księgarniach

MUSZĘ SIĘ WTRĄCIĆ

Wystawiając „Wieżę Babel", miałem złudne wrażenie, iż nie będę obowiązany do pisania z niej recenzji. A jednak zarówno pasja do wypowiadania się w sprawach, które mnie najżywiej obchodzą, jak i niechęć siedzenia na cenzurowanem zmusza mnie do chwycenia za pióro w nastroju nieco wojowniczym. Bilans teatralny „Wieży Babel" jest już zamknięty, ale pozostaje książka, — i dlatego pragnę napisać słów parę. Nie chcę, aby pewne szczegóły pobieżnie pisanych sprawozdań teatralnych zaciemniały stosunek czytelnika do „Wieża Babel". Ponieważ na rzeczowe zarzuty odpowiadać się winno rzeczowo (jak to powiada słusznie jeden z bohaterów mej sztuki, Jeffries), pragnę odpowiedzieć Boyowi i p. Krzywickiej.

1. Boy przyznaje, iż gdy Bonaparte dla zbawienia i pokoju Francji toczył bitwy i popędzał ludy, lub gdy prorok świętym kosturem poganiał Żydów do ziemi obiecanej — wszystko było w porządku. Natomiast w konflikcie Thompsona widzi „praktyczny i negatywny" ideał" (?) i powiada: „ta kwestja to rzecz rachunku — nie znając cyfr i pozycyj rachunku, nie wiemy, kto ma rację. Pozostajemy obojętni". A więc zbawienie i pokój Francji były czemś pozytywnem, co Boy przeciwstawia zbawieniu i pokojowi świata i owemu „braterstwu ludów", o którem mówi ironicznie. Jakiego to rachunku nie znamy? Znamy aż nadto dobrze te cyfry i ten rachunek klęsk, które szerzy brak owego „braterstwa ludów", które szerzy wojna, głupota i nienawiść. Znamy również cyfry i rachunek zdobyczy ludzkich, tej potężnej wieży cywilizacji, którą chce widzieć Thompson jak najdoskonalszą. Wobec skompromitowanych cyfr przeszłości, owych napoleońskich „miraży szczęścia i pokoju", coraz jaśniej i wspanialej przemawia do nas nowy rachunek i otwiera potężny widok przed oczami naszego pokolenia. Ten nowy rachunek kazał zatopić wyspę File i wybudować tamę Wilcoxa. Ma on już za sobą tysiąc prawd i tysiąc cyfr, i w imię tego rachunku genjusz ludzki posiadł prawo popędzania szemrzących tłumów— prawo nie gorsze od praw Mojżesza.

2. Konflikt Thompsona nie jest ibsenowskim konfliktem społeczeństwa i jednostki. Thompson nie jest sam: stoi za nim Jeffries i znaczna część tłumu. Ta sprawa to tylko drobny fragment ogólnego konfliktu. Czemu Boy pisząc o huraganowym ogniu wynalazków, o nowych ludziach, którzy, jak mi przyznaje, znajdują w mej sztuce nowe słowa, — właśnie Thompsona oddaje z powrotem Ibsenowi lub romantyzmowi i nazywa jego bardzo konkretne i utylitarne dźwiganie wzwyż wieży cywilizacji „manfredyzmem"? „Nim przyjdą nowe techniczne zdobycze", nie on wieżę podźwignąć do granic swych możliwości. W tej właśnie nadwyżce jego pragnień rozpoczyna się dramat odwieczny — tragiczny romans rosnącego, zrywającego więzy natury genjuszu ludzkiego. Ta „iskra, która różni nas ludzi od przyrody" jest zawiązanem tego konfliktu, którego rozwiązanie wymyka się naszym najśmielszym, najdalszym spojrzeniom. Thompson nie jest papierową postacią. Ośmielę się twierdzić, iż również papierową postacią będzie dla nas choćby Leonardo da Vinci, jak i każda jednostka genjalna, trawiona ową iskrą, owem przekleństwem czy błogosławieństwem, owym pędem twórczym, najpiękniejszą i najcenniejszą z rzeczy ludzkich.

3. Boy powiada. iż Thompson, ginąc śmiercią gwałtowną, równie dobrze mógłby zginąć na zapalenie ślepej kiszki. Istotnie, przyznaję, iż Thompson mógłby umrzeć na zapalenie wyrostka robaczkowego, ale przedstawienie na scenie operacji chirurgicznej wydało mi się mniej wdzięczne od śmierci z ręki zawistnego człowieka. Chodzi tu o okazanie słabości ciała ludzkiego i wielkości genjuszu. „Wszystko można ocalić póki krew nie spłynie". Na śmierć bowiem człowiek jeszcze nie znalazł lekarstwa. Strzał ten rodzi się już w pierwszych scenach dramatu i nie jest niczem nie przygotowaną niespodzianką.

Strzał ten nie byłby może padł, gdyby nie zdrada Elizy albo błąd Jeffriesa. Sądzę, iż gdybym wprowadził na scenę histeryczkę Angielkę, która przstrzeliła nos Mussoliniemu, — spotkałbym się ze strony Boya również z zarzutem przypadkowości — a przecież gdyby ta kula przeszła przez czaszkę wodza Włoch, życie pokazałoby nam obraz pomieszania i walki, zaczerwieniony krwią już prawdziwą, naprawdę przelaną. Boy, który sam nieraz nam pokazywał, jak wiele uczynić może genjalna jednostka dla postępu cywilizacji, nazywa to stawianiem całego problematu na nosie człowieka. (Kto wie, czy współczesne Włochy nie zostały ocalone przez nos Mussoliniego?) Kult zbiorowości nie będzie nigdy w mojem mniemaniu w sprzeczności z ceną i wagą genjalnej jednostki.

4. W trzecim akcie, mimo iż p. Krzywicka ma za to do mnie żal, nie przedstawiam rewolucji. Jest to ostani dzień, ostatnia zabawa przed radosnem przebudzeniem — moment dojrzenia ludzi do zrozumienia, bez którego nie wierzę w celowość przewrotu. Ten optymizm — to moje niczem niezachwiane prawo! Wierzę, iż taki dzień nadejdzie i w takich barwach go widzę. To nie żadne syzyfowe koło, bo człowiek jest jedynem stworzeniem na świecie którego przywilejem jest doświadczenie, i zgodzi się ze mną p. Krzywicka, iż postęp istnieje, — a i Boy zgodzi się, że armje, które nazywano jeszcze wczoraj „chlubą narodów", dziś się nazywa już tylko „złem koniecznem"... Jeśli nie przedstawiam i nie piętnuję wyraźnie jakiegoś ustroju społecznego, to nie jest to kwestja obojętności dla krzywd, które nas dzisiaj otaczają, ale przekonania, iż nie w samej zmianie ustroju leży jądro sprawy. Tej wiary w postęp nie chce Boy widzieć w Jeffriesie. Mimo wszystko co Jeffries mówi i czyni, Boy obawia się, że wpakuje on kulę w łeb każdemu, kto nie będzie zadowolony z dzieła pokoju. Powiada Boy sam, iż autor nie dopuszcza tej myśli, przyznaje się jednak, że takie wrażenie wyniósł na skutek interpretacji aktora. Zamiast napisać, jak aktor tę rolę interpretował, czyni mi zarzut z rzeczy ważnej dla mnie i istotnej. W każdym razie w możliwości jakiejkolwiek dyskusji zaznaczyć muszę, iż odpowiedzialność przyjmuję oczywiście tylko za utwór wydany już w książce, a nie za interpretację teatralną.

Antoni Słonimski.

Prowokacyjny film niemiecki

Prasa nasza pisała już dość o filmie „Land unter dem Kreuz", ilustrującym dzieje Górnego Śląska w sposób jak najbardziej podrażniający uczucia nienawiści narodowej. Wytwórnia „Deulig" źle wyszła jednakże na tej spekulacji, mimo iż pewne wysoko postawione osoby urzędowe patronowały temu filmowi. Jak nas informują, „Kraj pod krzyżem" jest wyświetlany w Niemczech przez trzeciorzędne kina, na rynku zagranicznym zaś z powodu swych nikłych walorów artystycznych nie stworzył tej propagandy antypolskiej, jakiej się po nim spodziewano. Jednakże film ten istnieje, i sam ten fakt jest prowokacją nietylko wobec Polski, ale również i wobec państw reprezentowanych w Lidze Narodów.

Nie wszyscy pamiętają o tem, że w ub. r. odbył się kongres kinematograficzny w Paryżu z inicjatywy Ligi Narodów, w którym uczestniczyli przedstawiciele kinematografji całego świata, prócz amerykańskiej. Na kongresie tym, na którym Niemcy byli niezwykle licznie reprezentowani i podejmowani ze szczególnie wielkiemi honorami, postanowiono zgodnie nie dopuszczać do produkowania filmów mogących w jakikolwiek sposób budzić animozje narodowe, i to do tego stopnia nawet, że postanowiono unikać w filmach wyobrażania przedstawicieli poszczególnych narodowości w formie ośmieszającej i odrażającej. Reprezentanci przemysłu filmowego Niemiec położyli swój podpis pod tą uchwałą, i oto dlaczego „Land unterm Kreuz" jest nietylko obelgą dla Polski, ale również i niepraktykowanym dotąd sposobem czynienia z filmu oręża w ręku wojującego szowinizmu narodowościowego, godzącym boleśnie w mocno nadszczerbioną już powagę Ligi Narodów. Dlatego też jesteśmy zdania, że *sprawa ta powinna być poruszona przez nasze przedstawicielstwo w Genewie.*

Dotychczasowe kroki, poczynione przez rząd polski w związku z tą sprawą, nie wystarczają. Jak wiadomo, żądanie ministra spraw zagranicznych, aby „Land unter dem Kreuz" został wycofany z rynku filmowego, nie odniosło należnego skutku.

Przed dwoma tygodniami ministerstwo spraw zagranicznych otrzymało oficjalną odpowiedź rzadu Rzeszy, że w omawianym filmie nie widzi nic obraźliwego dla Polski. Odpowiedź ta jest równoznaczna z wyraźnemi kpinami. Po nadejściu jej przedstawiciele naszego przemysłu filmowego, pp. Lilienfeld i Zagrodzki, zainterpelowali sfery filmowe w Berlinie i osiągnęli interwencję p. Lothara Stark, prezesa niemieckiego związku biur wynajmu filmów, który zwrócił się z listem otwartym do „Spitzenorganisation der Deutschen Filmindustrie", związku kinoteatrów i wytwórni niemieckich, nawołującym, w imię lojalności i ze względu na dobrze zrozumiany interes dzieł niemieckiego przemysłu filmowego w Polsce, do natychmiastowego wycofania obrazu „Kraj pod krzyżem" z rynku międzynarodowego.

Równocześnie nasz urząd cenzury filmowej zapowiedział, iż nie pozwoli w Polsce na wyświetlanie filmów wytwórni „Deulig", a wytwórnia „Sfinks", jak się dowiadujemy z pierwszego źródła, czyni starania, aby „Land unter dem Kreuz" został wykupiony przez „Ufę" i zniszczony.

Anatol Stern.

STREFICZNE MALARSTWO CHWISTKA

Kraków, w maju 1927.

Twórczość plastyczna Leona Chwistka zarysowuje się wyraziście przez swój wysiłek w kierunku odnalezienia nowej i własnej formy. Przez podział obrazu na kilka stref artysta pragnie podkreślić jego konstruktywny szkielet. Oryginalność Chwistka polega na zwróceniu się do samej kompozycji, jako formy, a nie do jej elementów, co czynił np. formizm. Chwistek nie obiera sobie żadnej zasadniczej formy, jako schematu konstrukcyjnego, takiej jak sześcian kulisów, lub walec Légera. Konwencja artystyczna strefizmu, którą pragnie nam Chwistek narzucić, sprowadza się właśnie tylko do konwenansu kompozycyjnego. Sprawdzianem krytycznym w stosunku do każdej zasady czy prądu powinna być głównie ich zdolność przekonywania i konsekwencja przeprowadzenia. W tych dwu punktach możnaby też mieć, zarówno co do strefizmu jak i co do Chwistka, wiele zastrzeżeń.

LEON CHWISTEK:
Portret p. Estreicherowej

Na ostatnią wystawę zbiorową Chwistka (urządzoną w Salonie Niezależnych w Krakowie) złożyły się same portrety. Najbardziej konsekwentny i oryginalny jest portret p. Jachimeckiej z użyciem ekscentrycznej (w znaczeniu matematycznem) spirali, jako elementu konstrukcji streficznej. Bardziej przejrzyste podkreślenie kompozycji, nagiętej do zasady strefizmu, znajdujemy w innych płótnach, ale zato przeprowadzenie jej jest mniej logiczne (np. w portrecie p. Estreicherowej). Kompromisem na rzecz realizmu i podobieństwa są portrety rektora Estreichera lub prof. Zaremby. Za dobry, choć nie nowy, pomysł należy uznać użycie urbanistycznego sztafażu. Za to „Jazz-band", jako tło portretu, nawet wtłoczony w ramy strefizmu, zawiera w sobie pomimo wszystko pewien posmaczek literackiego symbolizmu.

LEON CHWISTEK
Portret p. Jachimeckiej

Obrazy Chwistka cechuje duże poczucie barwy i linji. Dzięki temu strefizm wychodzi u niego poza ramy swej artystycznej niewystarczalności, jako kierunku par excellence kompozycyjnego, a wkracza w dziedzinę konstruktywnej formy.

Jan Brzękowski.

KARYKATURY LITERACKIE „CYRULIKA WARSZAWSKIEGO"

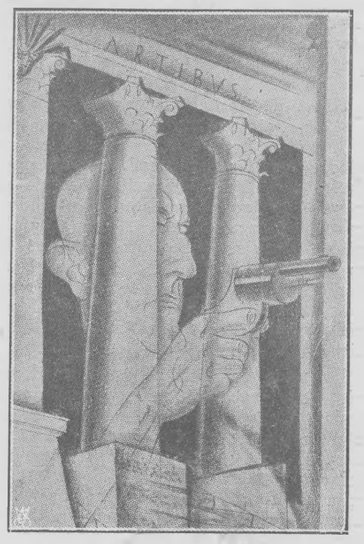

rys. Daszewski

Duch Tow. Zachęty Sztuk Pięknych nie wpuszcza do gmachu manifestacji ku czci Montwiłła

rys. Daszewski

Najnowszy ubiór kandydata do rady miejskiej m. st. Warszawy, Juljusza Kadena-Bandrowskiego

rys. Czermański

Przed premjerą „Wieży Babel" Słonimskiego: „Pasterka wsród wilków" (pp. Krzywoszewski, Grzymała-Siedlecki i Grubiński)

JUBILEUSZ WANDY SIEMASZKOWEJ

Przed kilkoma tygodniami odbył się na scenie lwowskiej obchód jubileuszowy znakomitej artystki: Wanda Siemaszkowa wystąpiła w roli Rudomskiej w dramacie Żeromskiego „Ponad śnieg".

Tydzień bibljograficzny

rejestruje całkowitą produkcję wydawniczą następujących firm: H. Altenberg. M. Arct, „Bibljoteka Polska", Ludwik Chomiński, Wacław Czarski i S-ka, „Czytaj", Gebethner i Wolff, F. Hoesick, W. Jakowicki, Krakowska Spółka Wydawnicza, Książnica-Atlas, Jakób Mortkowicz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Bernard Połoniecki, „Renaissance", „Rój", Trzaska. Evert i Michalski, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy.

BIBLJOGRAFJA, ENCYKLOPEDJE

Ilustrowana encyklopedja Trzaski, Everta i Michalskiego pod redakcją d-ra *Stanisława Lama.* Tom III. Zeszyty 27 — 31. Mai — Ner. Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, (1927); szp. 289 — 768 i tabl. 10. Zł. 6.50 za zeszyt. — Tablice dotyczą marynarki, maszyn rolniczych, optyki, telegrafu, telefonu, grzybów i krwi.

HISTORJA LITERATURY, KRYTYKA ESTETYCZNA

Stanisław Baczyński. Losy romansu. Warszawa, „Rój", 1927; str. 159 i 1nl. Zł. 4.80. — Autor, dając zarys dziejów powieści polskiej, „nie pretenduje do szczegółowego obrazu i analizy dzieł... Zadaniem autora było tylko poruszenie tych problematów i spraw, które, wiążąc się z dziejową przeszłością, mogą mieć doniosłe znaczenie dla przyszłej myśli krytycznej w Polsce".

G. K. Chesterton. Obrona niedorzeczności, pokory, romansu brukowego i innych rzeczy wzgardzonych. Z oryginału angielskiego przełożył *Stanisław Baczyński.* Warszawa, „Rój", 1927; str. 152. Zł. 4.80. — W szeregu rozdziałów broni Chesterton romansu brukowego, niedorzeczności, planet, farsy, pokory, nierozważnych ślubów, szkieletów, jawności, pasterek z porcelany, pożytecznej informacji, heraldyki, rzeczy drzyokich, gwary, miłości do dzieci, detektywnych opowieści, patrjotyzmu.

Studja z zakresu Historji Literatury Polskiej. Nr. 7. *Hanna Mortkowiczówna.* Podanie o Wandzie. Dzieje wątku literackiego. Z 10 ilustracjami. Warszawa, 1927; str. 6nl. i 140 i tabl. 10. Zł. 7.50.— Autorka omawia kolejno charakter i genezę podania, pierwiastki tradycyjnej treści oraz dzieje podania. Książkę uzupełnia chronologiczny przegląd utworów i wzmianek o Wandzie, od Kadłubka do Tuwima (160 pozycyj!), omówienie ilustracyj i indeks.

POWIEŚĆ, NOWELA

Wizerunki Słynnych Kobiet i Mężów. Zaślubiny śmierci i Mary Vetsera. Tragedja miłości. Powieść. Na podstawie źródeł historycznych napisał *Leo Belmont.* Stanisławów. „Renaissance", (1927). str. 184. Zł. 6.— Dzieje miłości arcyksięcia Rudolfa i jego kochanki, Mary Vetsera.

Bibljoteka Humoru T-wa Wydawniczego. Rok pierwszy. Książka VII. Redaktor *Juljan Tuwim. O. Henry.* Bluff. Warszawa, J. Mortkowicz, 1927; str. 64 i 8nl. Zł. 1. — Wybór opowiadań znanego humorysty amerykańskiego.

Zygmunt Kisielewski. Poranek. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 187 i 5nl. Zł. 4.50. — Powieść współczesna.

Zdzisław Kleszczyński. Romans na wsi. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 156 i 4 nl. Zł. 3.50. — Obraz nowoczesnego dworu polskiego.

Karin Michaelis. Metta Trap. Przekład *Anieli Waldenbergowej.* (Okładka *S. Norblina).* Warszawa, „Rój", 1927; str. 228. Zł. 7.— Jeden z najwybitniejszych utworów znakomitej pisarki.

Marja Ostenso. Krzyk dzikich gęsi. Powieść. Przekład *L. Staffa.* (Okładka *Tenglera).* Stanisławów, „Renaissance", (1927); str. 352. Zł. 9.— Powieść na tle życia chłopskiego, jako pierwszy utwór 26-letniej autorki, uzyskała nagrodę 15.000 dolarów.

POEZJA

Kazimiera Alberti. Mój film. Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. 59 i 5nl. Zł. 3. — Na tomik składa się szereg oddzielnych wierszy oraz dwa cykle: „Trzy portrety" i „Mój film".

Marja Kasterska. 9/10 przeciw 1/10. Poezja. Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. 30 i 2nl. Zł. 1.50. — Dwa cykle: „Rozkwitłe wzgórza" i „Nieprzeżyte szczęście".

Polska zagranicą

— Wychodzący w Klosterneuburgu pod Wiedniem pod redakcją Rudolfa Grossmanna organ anarchistyczny „Erkenntnis und Befreing" przedrukowuje z nr. 2 „Pologne Littéraire" przekład E. A. Rutry „Ody do miłości".

— Mgr. omawia w artykule p. t. „Palacky, Władysław Mickiewicz und Polen", umieszczonym w „Prager Presse" z dn. 29 kwietnia b. r., odpowiedni ustęp z pamiętników syna wieszcza.

— Leonard Kociemski ogłasza w „Il Messagero" z dn. 14 maja b. r. obszerny artykuł o Wyspiańskim („Stanislao Wyspiański"), zaopatrzony w podobiznę wielkiego pisarza.

— „Tägliche Rundschau" z dn. 12 maja b. r. przynosi recenzję Adolfa Glupe z niemieckiego przekładu powieści Reymonta „Bunt". Recenzent przychodzi do wniosku, że powieść ta nietylko zabezpiecza sławę Reymonta, ale ją jeszcze podnosi.

— Majowy zeszyt „Le Opere e i Giorni" przynosi obszerną recenzję z „Mściciela" Przybyszewskiego.

— „Prager Presse" z dn. 26 marca b. r. drukuje autobiografję Sieroszewskiego p. t. „Mein Leben in hundert Zeilen".

— „Prager Presse" z dn. 27 marca i „Vecer" z dn. 7 kwietnia b. r. reprodukują karykaturę Sieroszewskiego przez Czermańskiego, zamieszczoną w nr. 167 „Wiadomości".

— „Prager Presse" z dn. 27 marca b. r, umieszcza fotografję z przyjazdu Sieroszewskiego do Pragi.

— Bostoński „Christian Science Monitor" z dn. 4 maja b. r. drukuje biografję Sieroszewskiego w związku z jego londyńską wizytą („Polish Patriot at P. E. N. Club"). Artykulik jest zaopatrzony w podobiznę znakomitego pisarza.

— „Prager Presse" z dn. 31 marca b. r. ogłasza artykuł Leona Templera „Władysław Orkan" z powodu jubileuszu pisarza. Jest to niedosłowny przekład artykułu zamieszczonego w nr. 170 „Wiadomości Literackich".

— Mgr. streszcza w „Prager Presse" z dn 8 marca b. r. artykuł Morstina „O polską literaturę w polskim teatre", umieszczony w nr. 164 „Wiadomości Literackich".

— Otto Forst-Battaglia ogłasza w wiedeńskiej „Reichspost" z dn. 22 maja r. b. obszerne omówienie przekładu „Fausta" przez Zegadłowicza („Ein polnischer „Faust"). Recenzent jest zdania, że tłumaczenie to stanowi czyn artystyczny, który w Niemczech nie może przejść bez echa, tem więcej, że z licznych tłumaczeń „Fausta" udało się do tej pory jedynie — angielskie.

— „Frankfurter Zeitung" z dn. 21 kwietnia b. r. donosi z Warszawy o zamierzonem przez polskich autorów towarzystwie wydawniczem, któreby, z pominięciem księgarzy, wydawało książki na własne ryzyko.

— „Prager Presse" z dn. 27 marca b. r. przynosi artykuł M—ek. „Das bibliophile Kabinett" o działalności towarzystwa bibljofilów we Lwowie.

— „Fiera Letteraria" z dn. 22 maja b. r. przynosi obszerny artykulik Oskara Skarbek-Tłuchowskiego o „Wiadomościach Literackich" („Un confratello polacco della „Fiera Letteraria"). Po scharakteryzowaniu ogólnego kierunku pisma i podkreśleniu jego zasług w walce z wszelkiego rodzaju tandetą i grafomanją, autor zwraca specjalną uwagę czytelników na dział włoski „Wiadomości", liczne ankiety i wreszcie numery specjalne.

— ie. w artykule „V. Majakovskij kao pjesnik ruske revolucije", umieszczonym w zagrzebskim „Obzorze" z dn. 24 maja b. r., daje obszerne streszczenie szkicu Sterna o Majakowskim z nr. 177 „Wiadomości Literackich".

— „Prager Presse" z dn. 25 marca b. r. zwraca uwagę na artykuł Kołaczkowskiego o Wyspiańskim i Battaglii o Perzyńskim w nr. 5 „Pologne Littéraire".

POWIEŚĆ ZAŁOŻYCIELSKA

Pod tym tytułem zamieścił w „Robotniku" (nr. nr. 95 i 97) Karol Irzykowski dwa feljetony o ostatniej powieści Zygmunta Kisielewskiego „Błąd". W powieści tej pewien utopista buduje w Polsce domy kooperatywne dla robotników. Irzykowski zaznacza, że używając terminu „powieść założycielska", ma na myśli nietylko budowę w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz także to, że „wszelka budowa, t. zn. wszelka większa inicjatywa w Polsce dziś wywołuje szereg problematów, rozdziela ludzi, wiąże się z innemi zagadnieniami". Za taką powieść uważa np. także „Generała Barcza" Kadena - Bandrowskiego i sądzi, że „państwo powinnoby rozpisywać konkursy na polskie powieści założycielskie, a przynajmniej specjalnie nagradzać już istniejące. Byłby to rodzaj najwyższej ankiety na temat obecnej sytuacji duchowej i materjalnej w Polsce."

NAJNOWSZY TOM
„Komedji ludzkiej"
BALZACA
w tłumaczeniu
BOYA-ŻELEŃSKIEGO
Kontrakt ślubny
CENA ZŁ. 5.—
Nakładem „DRUKARNI KRAJOWEJ"
Skład główny
W KSIĘGARNI HOESICKA

Ukazał się z druku nr. 5
miesięcznika
„Akwarjum i Terrarjum"
Warszawa, Bednarska 9,
tel. 216-54

Największa hurtownia księgarska
W POLSCE
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Sp. Akc.
WARSZAWA, Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je w komis do księgarzy w całej Polsce.
WYDAJE PISMO REKLAMOWE
KURJER KSIĘGARSKI

Redakcja pisma dla młodzieży przyjmie artykuły zdolnych autorów. Wyczerpujące oferty: Warszawa, skrzynka pocztowa 318

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota nr. 8 m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1, m. 2. tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18, w sobotę od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Odbito w drukarni „Rola" J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI